

XXXIX OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

XXXIX OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 29 LISTOPADA 2024 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

Prawo do uśmiechu

*i ty i ja
mamy jedno życie
niepowtarzalne
na strofach wiersza
cichnie sopran twego głosu
pusty jak list
w którym umarły litery*

Mieczysław Stryjewski
3 III 1964



Wronyt, 2022

Zuzanna Piotka

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Tomasz Fopke

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Anna Piliszewska (Wieliczka)

W KATEGORII POEZJI:

I miejsce – nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Artur Maciak (Warszawa)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Katarzyna Zajac (Ozimek)

III miejsce
Jacek Sadkowski (Kwidzyn)

W KATEGORII PROZY:

I miejsce – nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Grzegorz Chwieduk (Kępice)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Aleksandra Woźniak-Marchewka (Gdynia)

III miejsce
Jolanta Kapica (Bogatynia)

NAGRODY SPECJALNE

Nagroda Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej
Magdalena Hoczyk-Banda (Lębork)

Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adela Kuik-Kalinowska (Strzelinko)

Nagroda Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Mateusz Klebba (Łężyce)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

ANNA PILISZEWSKA

OWCE

strzygli owce. krzyczałam, że to pewno je boli. bolał mnie
owczy ból.

tyle wiesz o tych owcach, co o teorii strun, ktoś powiedział
i splunął, i nerwowo odłożył szczękające
nożyce. śmierdziało

moczem i wełną. nierówno
przecięty księżyc krwawił niby kobieta. mżyło,
szkliły się linie

elektrycznych pastuchów. jagnięta lśniły. i śniły
pulsujące energie ziołowych, płodowych wód. stryj
wziął miotłę – i wymiótł

kłębki wełny i kurz. pomyślałam, że brzydko mu w
spoconej bokserce. i że dławi
woń zwierząt. w kącie stał niczym żandarm

krępy pniak z uciepionym w drewnie zębem siekiery
– dostrzegłam ślad krwi żywicznej; stygła
na zimnym ostrzu. i waliło mi serce.

a potem już wrócił ojciec zgłodniały i z wilczym
truchłem – widziałam
jego nadgarstki – jestem pewna: też krwawił...

KONIE

mżyło. chłód przemknął miedzą siną, wąską i śliską niby rybie
jelito. poruszyłaś się, siostrze, pod matki zdrewniałym
sercem. koprucho krążyły w izbach – polowały

na krew. a w kozie dogasał ogień i czerniały bierwiona.
żrebiła się Melpomena, kara
klacz w zimnej stajni – pobiegłam zobaczyć,

siostrze, w samej nocnej koszuli i w kłapkach na gołych
stopach. skaleczyłam się w piętę. przez podwórze i drogą
pełzły mgły jak bandaże. ścierniskami

szedł dreszcz. czekałam, aż żreback powstał i poszukał
wymienia. zapytałam się ojca, czy możemy go nazwać
Febusem Bursztynookim i czy przynieść obroku,

lecz odparł, że nic nie trzeba. owinąwszy w kufajkę,
naraz wziął mnie na ręce, wniósł do izby, gdzie
spalaś. pod deskami podłogi spęczniały

kropiate grzyby. zaskrzypiały przedmioty, gdy ktoś
zdmuchnął łojówkę. było duszno i mocno
piekła rana na pięcie. były wilki pod wsią. konie

rżały w zagrodzie. myślałam: one coś wiedzą, ale
nic nie powiedzą. co mogą wiedzieć zwierzęta? co
więcej od nas? ode mnie?

STRACH

wcześniej tkwił u Warcholów. ktoś go musiał przytaskać
po obraniu czereśni. wypatrzyłaś go, siostró.

składa się z ust!, stwierdziłaś i musiałam przytaknąć,
byś poczuła się ważną, choć to była nieprawda.

odtąd nas straszył w starym garniturze w pepitkę.
miał dziurawy melonik. beznosy, bezuchy, ślepy,

ale przecież miał twarz – wyciętą z białej tekturki,
rozciągniętą do granic w groteskowym uśmiechu.

a papierowe wargi, rozchylone jak brewiarz,
wysysały ukradkiem, haust za haustem, powietrze.

płoszył szpaki furkotem wyświechtanych nogawek.
na makowych zagonach w makówkach grzechotał mak.

strach mi samej tak leżeć... chodźcie, powiem wam
bajkę, bełkotała prababka pod pasiastą pierzyną, nim

umarła naprawdę. a my w jej pustym łóżku, w
nieogrzanym pokoju, bawiłyśmy się lalką – w ciszy

jak makiem zasiał.

OŁÓWEK ELKI

obgryziony ołówek: wyraźne są ślady zębów. dzieci
w klasie nerwowo myszkują wzrokiem wśród ławek.
bardzo łatwo pobłądzić w zawiłościach historii; oko
wabi ten grafit w obłuszczonej otoczce, przeoczony

przez szczotkę grubej pani sprzątaczk. miejsce Eli
jest puste, zguba leży pod krzesłem. jak tu się można
skupić na pogromie pod Kockiem, gdy się myśli
o śmierci realnej, nieoswojonej: to nie skowyt

epoki, gdzie lekko padają króle, lekko koń, lekko
armia i wyobrażasz sobie równie łatwo regiment jak
łatkę przy rzeczonym brzegu, nim zapragniesz
zatrzasnąć rozłożony podręcznik – wypełnić szare

komórki czymś miłym, chociaż banalnym, jaśniejszym
niż zaświat Elki. na dodatek ołówek. czy wypada
go podnieść? i potrzymać przez moment? wcisnąć w
czeluść kieszeni, a po lekcjach odłożyć?

może nawet zatrzymać? albo zabrać i potem go
zakopać za szkołą: scyzorykiem wydrążyć rowek;
płytkie wgłębienie – poobgryzaną zgubę oddać
ziemi na żer.

I MIEJSCE – NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

ARTUR MACIAK

* * *

to jest wiersz bezzałogowy
zrobię z niego papierowy samolot
według ścisłych zagięć linii papilarnych
z tutoriala na insta
ruchem ręki zza głowy wyznaczę pas startowy
z balkonu o świetle lotem sowy uzyska wolność
nic nie będę kurwa nagłaśniał
niech się tym zajmą odpowiednie służby
śledzą go na radarowych raportach
i niech spadnie gdzieś pod Bydgoszczą
bezszelestnym liściem na
zażywających leśnych kąpielu
lub wyląduje w polu kukurydzy
obok kochającej się pary
mam nadzieję że zabiorą go ze sobą
wsadzą do walizki futerału od skrzypiec
czy po prostu do kieszeni
bo w kieszeni najciemniej jak pod latarnią
nie powiedzą o nim nikomu
i wracać będą do przeczytania

* * *

w teatrze kukielkowym
Makbet był kurą która
traci głowę na niedzielny rosół
ktoś poucinał sznurki władzy
zanim Makbet zaczął mówić
Las Birnamski nie ruszył
prompter padł
a wiedźmy nie znały
słów zaklęć na pamięć

* * *

uciekłem z kwarantanny
syn odbiera i rozwija smycz mojego telefonu
rozmawia z botem
kobieta przywiozła pod drzwi chleb i pączki
Wisła bierze roz-wód z lustrem mostu
zszywam go szprychami miejskich rowerów
sygnalizacja świetlna ma ostre zapalenie spojówek
nie widzi kadzideł latarń w stanie spopielenia
regularnie pociera zaczerwienienie modlitw
o przejście w miejscu niedozwolonym
rzeźb wywłaszczonych od własnego ciężaru

od własnego ciężaru pod maską głuchną słowa
nie słyszą się same nie zwołują na protest
anarchia na portalach informacyjnych
Lotna Brygada Opozycji krzyczy: oddaj wrak
co dzieje się z tym co mówisz gdy częstotliwość gaśnie
energia słów zmienia stan skupienia
widziałem to na Górnośląskiej:
szafki i krzesła wypuszczały mole słów
słowa bez ludzi trawiły tapicerkę
balkon miał siatkę na ustach
przedpandemiczną atrapę maseczki
chroniącą nie przed gołębiami
a przed pandemicznym atakiem słów

trzeba dźwiękoszczelnej szybkości by słyszeć

ZNACZENIE MOCZEM MA ZNACZENIE

to jest pole widzenia
niezasiane niczym
bo Wisła wystąpiła z siebie
razem ze strajkiem kobiet
nie zrobisz mnie w wała przeciwpowodziowego
odpowiedziała
ciągnęła mnie za rękę
i kazała obsikiwać teren wokół ogniska
które dogasało
jesteś samcem sikaj
nie przyjdą tu inne zwierzęta
sikaj
dziś mam już dość wabienia potworów

II MIEJSCE NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

KATARZYNA ZAJĄC

KOLEBKA

I.

Babko, topolo czarna,
ja, dzika latorośl, zapuszczam korzenie
w twoim zmurszałym ciele, przemienionym
w próchnicę. Zachłannie piję krople opowieści,
którymi obdarzyłaś mnie w posagu.

Babko, topolo znad wiślańskiego brzegu,
przeżyłaś dwóch mężów, przetrwałaś dwie wojny
i zesłanie do obozu pracy. Jak pionierka wrosłaś
w obcą ziemię i poniemiecki dom – pełen duchów.
Miałaś lśniące rondle, ukryte w kredensie książki
i elegancki kapelusz na głowie. Nie wiedziałaś,
czym jest szczęście w miłości, choć urodziłaś
wiele dzieci. Mówiłaś: *pamiętaj, nigdy nie ufaj
mężczyźnie*. Na dnie szuflady trzymałaś zdjęcie
narzeczonego, który nie wrócił z wojny.

Teraz jesteś obumarłym pniem.
Kłodą-piastunką dla następnych pokoleń.

II.

Matko, sosno wysokogórska – wyrosła
na północnej grani. Matko, sosno-limbo,
ile w tobie mroźnego powietrza, kłujących szpilek
i srogich spojrzeń. Za nami tyle nawałnic,
halnych wiatrów i gradowych burz.

Spisali cię na straty – nazywali starą panną,
kiedy nagle przyprowadziłaś do domu zalotnika.
Ty, w żyłach której płynęła szlachecka krew,
poszłaś do ołtarza w błękitnej sukience,
pod którą rosło nowe życie. I przysięgłaś miłość
pięknemu królowi cyganów w tanim garniturze.
Babka nigdy nie wybaczyła ci zdrady. Matko,
zmęczona kuro od zimnego chowu, kolejek po mięso
i papier toaletowy, nocami samotna w pustym łóżku.
Mówiłaś: *pamiętaj, nigdy nie ufaj mężczyźnie.*

Teraz jesteś wykręconym przez artretyzm drzewem,
które może powalić pierwsza, letnia burza.

III.

Jestem dziką samosiejką –
skażoną złą krwią króla cyganów.
Ja, topola osika, drzę na lekkim wietrze.
Wyrosłam w domu zjaw, tajemnych szeptów
i zaklęć rzucanych przeciw mężczyznom.
Drzę, kiedy wokół padają stare drzewa,
po raz pierwszy wznoszę ramiona w błękit nieba
i swobodnie oddycham. Jeszcze mocniej drzę,
kiedy pozdrawia mnie młody, piękny buk.
Stoimy w kroplach deszczu – wpatrzeni w siebie.
Babko, kłodo-piastunko, czuję poruszenie ziemi
i twój nagły niepokój. Matko, rozgdakana kuro,
próbujesz podnieść z fotela niesprawne ciało.
Wciąż słyszę: *pamiętaj, nigdy nie ufaj mężczyźnie.*
Kiedy widzę swoje odbicie w leśnej sadzawce,
nie wiem: jestem, czy nie jestem do was podobna?

Teraz tańczę w zielonej sukience z młodym bukiem.
Druhny-brzozy sypią ryżem na szczęście, wznoszą toasty.

POTRÓJNA

Objawię ci się jako łania stojącą nad wodopojem.
Patrzysz na gibkie ciało i odlane z brązu racice.
Moje wilgotne chrapy drżą. Nad nami stuletni las,
pachnący feromonami i igliwiem. W mroku ukrywają się:
piękna Maria, pomarszczona jak suchy owoc, Anna o spojrzeniu
zbołałej madonny kołyszącej pustkę i dziewczynka
z pluszowym misiem. Zerkają na nas w napięciu.

Idąc, wpadniesz w grzęzawisko – po policzku spłynie łza.
Zapłacze we mnie Maria. Miała siedemnaście lat, kiedy ogolono
jej głowę, spalono ubrania pełne wszy. Skulona ze wstydu drżała
pod prysznicem, kiedy nagie ciało dotykał wzrok esesmanów.
Szeptala modlitwy, by nie zmienić się w dym ulatujący z komina.

Idąc, rozetniesz ostrzem pnącza – po policzku spłynie łza.
Zapłacze we mnie Anna. Miała siedemnaście lat, kiedy w miękkie
ciało wdarł się zimny metal. Z precyzją urwał rączkę i nóżkę.
Aż wypłynęły: krew i skrzepy, wstyd i grzechy. Patrzyła na rysy
na suficie – pękał obraz chłopca i dziewczyny znad rzeki.

Idąc, przejdiesz przez ogień i lód – po policzku spłynie łza.
Zapłacze tamta dziewczynka. Miała siedemnaście lat, kiedy patrzyła
na siebie nagą. Grube ciało trzeba głodzić, wymazywać gumką,
kneblować drutem. Wyfrunęła z kokonu białej ciszy jako ćma
z krwawiącymi nadgarstkami, a nie piękny motyl z okładek.

Rozsuniesz kurtynę z gałęzi. Twoje usta dotkną futra-ciała.
Pocałunkami wymażesz siniaki i zadrapania. Zapomnę, że byli
inni mężczyźni, po których zostały trujące słowa. Poproszę,
byś wyjął z pleców nóż – kobieta kobiecie wilkiem i jadem żmii.
Wtedy stanę przed tobą bardziej niż naga. Zapłaczę,
kiedy odejdą wśród drzew: piękna Maria, smutna Anna
i dziewczynka z pluszowym misiem.

RZEKO, NAZYWANA UTRATĄ (I)

Pamięci Dziadka

Gdzie jest twój początek? Srebrzystą wstęgą
płyniesz przez kolejne lipce i sierpień. O poranku
rodzisz mgły, a wieczorem duszną ciszą pełną
plusków i brzęczeń. Dzieci gęsiego przechodzą w bród.
A jednak kryjesz tajemnice, podwodne wiry i prądy,
skoro tamtego dnia zdradliwie podstawiałaś mu nogę –
leżał na kładce jak ogromny żuk przewrócony na plecy,
ryby uciekały z kosza. Wrócił do domu obolały
i ból od tej chwili nie odstąpił – gryzł ciało jak rak,
atakował jak drapieżny szczupak. Zmienił się w rzekę,
która wystąpiła z brzegów, aby odebrać co swoje.

Kupował dziewczynce lizaki i landrynki. Strugał
drewniane zabawki. Zabierał na przejażdżki na rowerze.
Snuł opowieści o fabryce zbudowanej na kostce cukru
z kominem aż do nieba. Wokół falowały zielone wzgórza
i buraczone pola. Kiedy się śmiała, odpowiadał chropawym,
nienawykłym śmiechem. Przy dziewczynce łagodniał.
Rzeko, przed pójściem do szpitala, przykuśtykał na brzeg.
Osłoniłaś się mgłą, aby nie patrzeć mu w oczy.
Skurczył się i pomarszczył, zdawało się, że lekkie kości
wypełnia powietrze. Kiwał głową, gruchał jak siwy gołąb.
Niebo przecinały klucze odlatujących ptaków. Krzyczały.

Zostawiły na trawie pióra. Pierwszy szron. Lodową pustkę
w kubku niedopitej kawy, zmiętym prześcieradle.

RZECO, NAZYWANA UTRATĄ (II)

Pamięci Misi

Gdzie jest twój początek? Srebrzystą wstęgą płyniesz przez kolejne lipce i sierpnie. Kiedy pakuję plecak, wędrujesz razem ze mną. W nurcie obmywam stopy. Rzeko, przemiano, raz jesteś Nysą Kłodzką, a raz Małą Panwią. Rzeko, kropło, wciąż widzę: zielone sitowie, ślady na piasku, patyki na wodzie i otrząsanie mokrego futra. Kropło, łożo, zagubiona na policzku – przeczuwałaś, że to ostatnie lato? Jeszcze pływa, merda ogonem, ale w ciało wgryzł się pasożyt. Rzeko, pełna meandrów, opowiadasz te same historie: diagnozy, liniejące włosy,

skołtuniona sierść, skłębione z bólu prześcieradło, legowisko. Ciało, które staje się śmiertelne. Ciało, które obmywamy, ubieramy w garnitur, składamy w wydrążonym drzewie, opuszczonej dziupli. Ciało, które trzeba uśpić zastrzykiem, szybko pożegnać, zostawić na zimnych kafelkach. Rzeko, kropło, czy potrafisz zawrócić bieg? Zaniósłabym ją nad wodę, położyła pod drzewem. Wymościla w ziemi miękką kołyskę na lodowaty sen. W świetle księżyca lśniłoby mokre futro, w piersi biło dzikie serce. Kropło, drążysz do głębi,

przenikasz do źródła, prowadzisz kroki nad pusty brzeg.

III MIEJSCE

JACEK SADKOWSKI

MARYCHA I KIEŁBIE

*W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę,
Jest takie leśne jezioro ogromne (...)*

W mojej ojczyźnie, Czesław Miłosz

I.

miłoszowy
sposób narracji tęsknot

za czymkolwiek. dzieciństwem miłością
ojczyzną.

męsko krótko rytmicznie. w młodości
podchodziłem do tego
z czysto technicznym nabożeństwem bo sam

nie znałem jeszcze słodko gorzkiego dotyku
niewysłowionego bólu na dźwięk słów

młodość miłość a zwłaszcza ojczyzna. szarpiąca tęsknota
do kraju urodzenia była wymysłem. dobrze
sprzedającym się w literaturze
lecz nierzeczywistym.

gdy wracałem z podwórka szkoły wchodziłem do domu gdzie
wpajano mi że jestem nie stąd że otaczająca mnie
realność to tymczasowa niewola.
chwilowe wygnanie na nowe ziemie.

byłem
znikąd.

II.

ojciec i stryj leon byli coraz
bliżsi podjęcia decyzji o bezzwłocznym
powrocie do sonicz.

tak jak siedzieli. w kapciach
w rozchełstanych koszulach rozgrzani czterokrotnie
destylowaną domową żytnią wódką.

szli przez
łąki

jacek! żeby ty widział tych kielbi. oni byli duże
jak krasnopióry!

nad kanał nad brzegi marychy. nocami
palili ogniska piekli kartofli wędzili ryby pilnowali koni
na pastwiskach.

a maryche pamiętasz? łąkami płynęła. hieronim
prawie się utopił. jacek! ty mi wierz. czarne jagody wielkie
jak młoda kartofla. nie nie przesadzam oni takie byli. tam
wszystko wielkie i dobre.

było dobrze. tak dobrze jak nigdy
i nigdzie więcej nie będzie. zawsze było
lato zawsze. nawet w grudniu. jasne krótkie noce rozgwieżdżone

jacek! a płoci! jezu chryste jakie
ogromne. jacek! ty tam kiedyś wrócisz. tam gdzie dziadek
józef wozem na wieczór przyjeżdżał bo borowików
babcia tyle uzbierała że nieść do domu nie było jak.
niebo w środku dnia. śnieg padał na zawołanie. a zaraz po
mroźnej zawiei kwitły jabłonie i czeremchy w lesie
za wsią. woda w kanale rozkosznie ciepła na życzenie
pokrywała się gładkim lodem. nic nigdy się
nie kończyło dzień w dzień gorące słońce i pomarańczowy
księżyc w pełni odbijały się w przejrzystej
wodzie niemna.

w niedziele kopciowo

na litwie. tamtejszy ksiądz nie miał wiele pracy bo
nikt nie grzeszył i nikt nigdy nie umierał. no kto i po
co umierałby w soniczach?

słuchałem ich opowieści lekko znudzony
rozbawiony. nie docierało do mnie to co najważniejsze.
tęsknota i miłość tak wielka że niemieszcząca się w realnie
dostępnej rzeczywistości. wszechogarniająca silniejsza
niż śmierć.

III.

siedzę przy samotnym stole.
nocą w pustym domu.
słyszę te rozmowy i kocham
ojcowy sposób opowiadania tęsknot. wiem że

jestem

z lasu którego nie ma
ze wsi której nigdy nie było
ze słodkiej wody nieistniejących rzek. z miejsc
prawdziwszych niż wszystkie prawdy.

ŚMIGA STRZYGA

nerwowe małe chmury trą ze zgrzytem
o ciężką szarość nieba albo o grzbiet mokrego
wilka albo o policzki groźnego mokradła wśród leśnych
jeziorek albo o coś nastroszonego i smutnego
jak to czasem bywa

w mrocznych bajkach. trudno jednoznacznie
stwierdzić gdzie dół ma górę a góra dół co jest piekłem

a co nie jest niebem. wiatr jęczy rżęzi
w gałęziach drzew które były
jeszcze wczoraj

gałęziami drzew. dziś są
lepką czarną mazią zamazującą
każdy rozbłysk światła.

oddycham cicho ostrożnie.
nie chcę zbudzić złego zmarzniętego śpiącego pod
grzejnikiem. wwiał je wiatr szparami

balkonowych drzwi razem
z garścią liści z krzaków róż i bzów.

a co to za złe?- pytam.
a nie wiem - odpowiadam.

bo nie wiem. może
to strzyga może lichy może zmarznięta listopadem południca
jesiennica zmrocznica nie znam się na wymyślaniu nazw
dla wymyślonych stworzeń których

przecież nie ma ale i tak chodzą po snach po domu
wyjadają ziołowe cukierki wypijają brzozy sok zakradają się
tam gdzie sam boję się zajrzeć i płaczą potem

przez całe nie-spokojne noce
zaplątane w zaschnięte skrzydła niemrawych ciem.

spoko spoko śpijcie słodko - mówię w ciemność
do nich. tu jestem tylko ja. ochronię nas was przed żywymi.

NIEBĀDZĒNO

I.

/pies ma niepoprawne imię.
jednak wtedy brzmiało zwyczajnie./
murzyn. siedzi w budzie przy drzwiach stodoły.
chcę go pogłaskać. spłoszony mrokiem
i hałasem wbija zęby w rękaw mojej kurtki.

podwórko tętni głosami zmęczonych mężczyzn
krzątających się przy wozach pełnych siana. przed chwilą
przyjechaliśmy z łąki za strumieniem.

stryj wychyla się z okna kiwa na mnie ręką.
zapominam o świeżej dorosłości. czuję głód.
wpadam w pierwsze drzwi po lewej stronie ciemnego korytarza.

mame mnie przytula. siadamy
do kolacji. jajecznica na grubych skwarkach sałata ze śmietaną
doprawiona cukrem tak mocno że łaskocze w gardle.
gryzę niecierpliwie chleb. za chwilę pierwszy raz
w życiu pójde do stodoły spać na sianie.

jedno z moich marzeń właśnie się spełni.

jacek czasem cygaret tam nie pal rzuca stryjek
wszyscy się śmieją. a ja na wszelki wypadek zabieram
ze sobą latarkę i tajemniczą wyspę.

II

mногоść intensywnych doznań.
lekki deszcz szczekanie psa zapach siana krów
sandały chlapiące w kałuży woń gnojówki

niewzruszona pewność wszystkiego.

III

niewiele pamiętam z nocy.
owinięty kocem zasypany sianem zasnąłem
od razu. nad ranem
tate przeniósł mnie do domu. położył do łóżka.

IV.

nowô wies. stryj leon stryjenka irene która
lepiej się czuła mówiąc po niemiecku.
miała matkę niemkę i ojca kaszubę.
pochodziła z sąsiedniej osady niebãdzëno.

w ciemnym pokoju pełny niewysłowionej tęsknoty za sobą
samym i lipcowym sianem myślę że niedługo wszystko
będzie w niebëdzinie.

NEUROGASTRONOMIA

*Pamiętają skrzypienie łóżka, krok właściciela,
smak ryby, cudowną śmietanę.
Koty pamiętają z dni to, co ważne.
Wspomnieniom bez wartości pozwalają odejść*

*Rzeczy nieważne, Brian Patten
tłum. Piotr Sommer*

chciałbym mieć taką kocią pamięć.
naturalny mechanizm
obronny filtrujący wspomnienia zachowujący tylko

warte grzechu.

i jeszcze żebym mógł sterować
tęsknotą
tak by nie

bolała. wystarczy że rwą mnie gnaty. wszystkie kości
wyją. stawy panewki i główki sypią iskrami. łakotki
kaletki i trzesczki trą wytartą do cna
chrząstką śliską. niech

tęsknota będzie odporna na ból. przyjaźnie
nastrojona. niech spokojnie pływam w małej łódce
smaków pamięci zapachów niepamięci

od jednej zamglonej przystani do
drugiej po morzu ciemnym jak wino. i jak ono
mocnym. niedawno

przypadkiem kliknąłem
w przepis na racuchy. puchate
chrupkie posypane lekkim dymem cukru
pudru. zawsze w piątkowe wczesne popołudnia
szkolna stołówka karmiła racuchami. zawsze
był październik zawsze chłodno

zawsze od rzek nadciągała mgła zawsze resztki słońca
przenikały klony i kasztanowce. zawsze słodkie

zapachy ciągnęły mrocznymi schodami
do stołówki. po drodze zderzały się z zapachami
porów selerów i ziemniaków w workach. zawsze tak pachniało
każde piątkowe popołudnie.

opchany racuchami chrupkimi i puchatymi
jak sen ciągnąłem

do domu przez chłodny park wypełniony resztkami
niemieckich nagrobków. zawsze. w domu zapach drewna
na podpałkę i kamienna woń kamiennego węgla. zawsze. przez
cały rok

był październik. zawsze piątek. zawsze. nieważne że
nie pamiętam czy sobota po tym piątku była wolna ale pewnie
była. zawsze była wolna sobota i w telewizji zawsze był
columbo i kojak w westernie
z johnem wayne. ojciec wracał z lasu z późnego grzybobrania zawsze
przynosił pełne kosze opieniek. zawsze.
był piątek na zmianę z sobotą. zawsze.

październik. spokój spokojnych wieczorów. zawsze. jutro
kupię drożdże i cukier
puder usmażę



Кинофт, 2023

Зузана Плотка

I MIEJSCE NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

GRZEGORZ CHWIEDUK

ŚCIANY ILUZJI

WIDZĘ MOJĄ KUCHNIĘ

Jest wieczór, a ja stoję nad zlewem. Szum wody zagłusza myśli. Kolejna łyżka, szklanka, kolejny talerz. Mechaniczne, automatyczne ruchy. Co będzie jutro na obiad? Czy dzieci zjedzą wszystko? A może znowu zostawią warzywa na talerzu?

Kiedyś miałam marzenia. Teraz mam tylko obowiązki. Kiedy ostatni raz miałam chwilę dla siebie? Bez dzieci, bez męża, bez hałasu? Bez tego ciągłego biegu, krzyków, płaczu?

Może w nocy, kiedy wszyscy śpią, będę miała trochę ciszy? Żeby być sobą, żeby myśleć.

MIAŁAM SEN

Śnił mi się dom, w którym zawsze było ciepło, w którym dzieci śmiały się, biegały po podwórku. Ten wyśniony dom był taki cichy, taki spokojny. Ale teraz wszystko jest inne. Dlaczego? Dlaczego czuję się, jakbym była cieniem samej siebie?

Codziennie wstaję rano, piję kawę, patrzę przez okno. Ulica jest ta sama, ale ludzie, którzy po niej chodzą, są obcy. Sąsiedzi zmieniają się jak pory roku, a ja trwam w tym samym miejscu, z tymi samymi wspomnieniami, które gryzą jak niewidzialne szpilki.

Chodzę po domu, dotykam przedmiotów. Każdy z nich ma swoją historię. Talerze były świadkami wielu wspólnych obiadów. Zabawki, teraz zakurzone, kiedyś były całym światem moich synków. Książki, które czytałam im na dobranoc, ich ulubione bajki. Lata płyną, a ja stoję w miejscu. Czasem myślę, że jestem jak drzewo zakorzenione głęboko w ziemi.

Wchodzę do pokoju, gdzie kiedyś spały moje dzieci. Puste łóżka, cisza. Patrzę na zdjęcie na ścianie, ich uśmiechnięte twarze. Czasem mam wrażenie, że życie przemyka obok mnie, a ja tylko obserwuję. Jakbym była widzem własnego życia, które już dawno przestało być moje.

ZAMYKAM OCZY

Chwila tylko dla mnie, a może nawet nie chwila. W kuchni szmer lodówki, a w salonie dziecięce śmiechy. Niby spokojnie, ale w głowie chaos, kłębek myśli, płatanina trosk i marzeń.

Jutro muszę wstać wcześniej, obudzić dzieci, przygotować śniadanie. Czy nie zapomniałam o czymś ważnym? Może jednak uda mi się zdążyć na spotkanie w pracy? Ale co z obiadem? Znów makaron, bo szybko, bo łatwo.

Chciałabym się zatrzymać. Przecież to niemożliwe. Zatrzymać? Jak? Dzień płynie za dniem, a ja muszę płynąć z nim, inaczej utonę.

Zamykam oczy. Cisza. Na chwilę. Na moment. A potem znowu, znowu będzie to samo.

DZIECI ŚPIĄ

W ich oddechach szukam pocieszenia. Wczoraj widziałam, jak bawiły się na podwórku, ich śmiech niczym dzwonek roweru przypominał mi lato.

Życie znów toczy się jak stary zegar, tik-tak, tik-tak. Czasem czuję, że to wszystko jest snem i obudzę się w innym świecie, gdzie jestem tylko ja. Ale nie, jestem tu z nimi, wśród pieluch, wśród klocków. Każdy dzień taki sam, a jednak inny. Małe rączki ciągną za rękaw. Czuję ciężar nieuniknionej odpowiedzialności, każdy krok ma swoje konsekwencje. Zegar tyka, dzieci śpią a ja czuwam.

ZNOWU TU JESTEM

W tym pokoju pełnym wspomnień i pustych przestrzeni. Kiedyś było tu życie, krzyki. Teraz cisza, tylko cisza. Szuka czegoś, czego już nie ma. Czy to normalne, że czuję się taka pusta? Czy minie, ta dziura w sercu?

Siedzę przy biurku, książki leżą otwarte, ale słowa nie mają sensu. Tyle się zmieniło, tak wiele utraciłam. Patrzę na swoje ręce, drobne, drżące. One kiedyś trzymały rękę ojca, czułam jego siłę, bezpieczeństwo.

Wychodzę na ulicę, ludzie mijają mnie, każdy ma swoją historię, swoje życie. Świat jest taki obojętny, taki zimny. Wracam do domu, tam, gdzie zawsze czekała na mnie ciepła herbata, uśmiech matki, głos ojca. Teraz to tylko ściany, zimne, puste. Tylko cisza, wieczna cisza.

STOJĘ NA KRAWĘDZI

Matka mówiła, że czas leczy rany, ale on przecież tylko rozdrapuje. Wspomnienia wracają jak nieproszeni goście. Wchodzą bez pukania, rozsiadają się wygodnie i zaczynają mówić o przeszłości.

Zimą zmarł ojciec. Pamiętam, jak zamarzła szyba w oknie jego pokoju. Pamiętam ciszę, która zapadła po jego ostatnim oddechu.

Teraz ten ogród. Rośliny wyrastają z ziemi, jakby chciały coś powiedzieć, coś przypomnieć.

Próbuję zrozumieć, dlaczego wszystko musiało się tak skończyć? Może to tylko ja? Może ja jestem zbyt słaba, zbyt zagubiona? Może świat jest zbyt wielki, a ja zbyt mała, by go zrozumieć?

Stoję na krawędzi. Nie tej fizycznej, ale tej wewnętrznej. Zastanawiam się, dlaczego tamten dzień był jak cios w moje serce?

Przechadzam się po ogrodzie, gdzie kiedyś z braciszkiem bawiliśmy się w chowanego. Kiedyś. Teraz tylko cienie.

SIOSTRA BEZ BRATA

Patrzę na ręce. Są szorstkie, popękane, z zapisaną historią. Niedokończone zdania wryte na skórze, żyły pod nimi jak mapy dawno zapomnianych dróg. Znowu zasypałam oczy piaskiem, niewidzialnym pyłem codzienności. Czarne plamy pod oczami, widzę to, czego nie chcę widzieć. Brat. Brat, który był kiedyś światłem, a teraz jest tylko cieniem na ścianie. Cieniem, który już nie przynależy do ciała.

Kiedyś marzyłam, teraz już tylko patrzę. Patrzę i widzę, jak pękają fundamenty, jak wznoszą się ściany iluzji. Wszystko się zmienia, wszystko przemija, nawet najtwardsze kamienie kiedyś się skruszą. A brat? On stał się pyłem, który osiadł na mojej skórze, który wdycham z każdym oddechem. Czy jestem jeszcze sobą? Czy już tylko cieniem brata, którego nie ma?

Tęsknota. Smutek. Pustka. Słowa, które nic nie znaczą, które nie oddają tego, co we mnie. Czasami mam wrażenie, że jestem tylko marionetką poruszaną przez niewidzialne ręce, bez woli, bez celu. Patrzę na zdjęcie brata. Uśmiech, który był prawdziwy, teraz jest wspomnieniem. Życie bez sensu. Siostra bez brata.

PATRZĘ NA PUSTE ŁÓŻKO BRATA

Czuję w ustach smak chleba, który on gryzł, ten smak teraz gryzie mnie. Zamykam oczy i słyszę jego głos. Cichy, niemal szept. Co mówił? Nie pamiętam. W pokoju zapach książek, które lubił. Zostawił je wszystkie na półkach, w idealnym porządku poustawiane. Ślady palców na okładkach i kartkach.

Patrzę na zdjęcia z dzieciństwa. Śmieje się brat, śmieję się ja też. W lustrze widzę nie moją, ale jego twarz. Naszą twarz. Szukam w sobie śladów jego obecności. Idę na nasze ulice, nasze ścieżki. Siedzę w jego pokoju. Sama jestem pustką, którą po sobie zostawił mój brat.

DOROSŁOŚĆ NAS ZMIENIŁA

Ten śmiech niesie się echem po pustych korytarzach domu. Jakbyśmy jeszcze mieli coś wspólnego z dzieciństwem. Nasze wspomnienia, niczym stare fotografie, blakną z każdą chwilą. Twoje oczy, te same oczy, które znałam jako dziecko. Czy jeszcze pamiętasz, jak razem bawiliśmy się w ogrodzie? Teraz wszystko jest inne.

Dorosłość nas zmieniła, rozdzieliła. Nie potrafimy być razem, jak dawniej. Twój uśmiech nie jest już taki sam, a ja nie potrafię patrzeć na ciebie bez tego dziwnego uczucia.

Czasem myślę, że to wszystko jest snem. Że obudzę się i zobaczę ciebie młodsze, z niepokromioną radością w oczach. Ale to tylko iluzja.

Czasem mam wrażenie, że jesteś obcy. Czy to ja się zmieniłam, czy ty? Nasze rozmowy są teraz pełne milczenia, jakbyśmy obawiali się słów, które mogą zranić. Milczenie jest bezpieczniejsze, ale czy to jest to, do czego dążyliśmy? A ja tak bardzo tęsknię za prostotą naszych dawnych dni, kiedy wszystko było proste i zrozumiałe.

CZAS SIĘ ROZMYWA

Matka w kuchni, ojciec w warsztacie. Ja na krawędzi stołu, z książką, czekająca na coś, co nigdy nie nadejdzie. Wczoraj, dzisiaj, jutro – czy to ma jakieś znaczenie? Czas się rozmywa jak woda w rzece, nie mogę go zatrzymać, choć tak bardzo bym chciała. Brat mówi, że to tylko faza, że minie, jak każda burza.

Ale ja czuję, że to coś więcej. Coś głębszego, coś, co mnie pożera od środka. Niebo szare, ziemia mokra, świat bez kolorów. Czy tak ma wyglądać życie? Bez barw, bez radości?

MÓJ MĄŻ

Rutyna to znudzenie, znudzenie to śmierć. Patrzę na niego. Mój mąż. Nasze spojrzenia już dawno przestały się spotykać. Kiedyś pełne nadziei, teraz obojętne. Przestaliśmy rozmawiać. Nasze słowa przestały mieć znaczenie, a myśli zagubiły się w natłoku obowiązków.

Słyszę tykanie zegara. Każda sekunda to krok bliżej końca. Ale końca czego? Życia? Miłości? Zrozumienia? Wyrzuty sumienia plamią mój umysł, ale jak mam się spowiadać, skoro nie mam już komu? Bóg milczy, a ja boję się ciszy.

Pamiętam tamte dni, tamte uśmiechy. Czy to byliśmy my? Powinniśmy się nadal cieszyć, ale radość uciekła, zostawiła nas samych, z naszymi niedoskonałościami i bólem. Może jutro będzie inaczej? Może jutro zrozumie my? Może.

CISZA W KUCHNI

Pachnie kawa. Piję ją, jakbym piła powietrze. Patrę na szklanke, widzę nasze życie. Takie zwykłe, codzienne, bez fajerwerków. A przecież był ogień, były iskry, optymizm, plany.

Patrę na jego koszulę wiszącą na krześle. Przypomina mi, że wróci z pracy. Zawsze wraca zmęczony, milczący. Zastanawiam się, czy jeszcze mnie widzi, czy widzi nasze dzieci i nasze wspomnienia. Czemu tak trudno rozmawiać? Czemu słowa wysychają na ustach jak liście jesienią, sypiące się na ziemię? Chciałabym wygarnąć mu wszystko, ale milczę.

Siedzę. Patrę przez okno. Ptaki latają, wolne, nieskrępowane. Ja tu, w czterech ścianach, z obowiązkami, rutyną i ciszą. Czy to już koniec marzeń? Koniec nadziei? Próbuję sobie przypomnieć, jak to było, kiedy pierwszy raz mnie pocałował.

Czy to uczucie istnieje jeszcze we mnie? Ono schowało się gdzieś głęboko, zasypane warstwami lat, klótni, zmęczenia. Nie chcę tak dalej. Muszę coś zmienić, muszę się obudzić. Ale jak? Jak wyrwać się z tej matni codzienności? Zamykam oczy, biorę głęboki oddech. Jestem tu, jestem teraz. Jeszcze jestem. Ale jak długo?

ZAGNIATAM MYŚLI

Czasami czuję, jakby moje myśli były porozrzucane bez składu i ładu. Jakby ktoś je wrzucił do wielkiego, pękniętego garnka, potrząsnął i wymieszał, opróżniając całą zawartość.

Siedzę przy stole, patrę w przestrzeń. Widziałam kiedyś, jak matka zagniała ciasto, teraz ja zagniatam myśli i formuję z nich coś, co miejscami ledwo trzyma się kupy. Taka już jestem chaotyczna, niechronologiczna.

Czuję chłód. Nie zewnętrzny, ale taki w środku, który przechodzi przez skórę i osiada w sercu. Czas płynie, a ja ciągle tu siedzę i zagniatam myśli.

CZAS MNIE PRZERASTA

Czas płynie, a ja jak ten kamień w strumieniu, coraz bardziej oszlifowany, coraz mniej ze mnie zostaje. Kolejne pokolenia przychodzą, a moje odchodzi. Kiedyś bałam się śmierci. A teraz? Czekam na nią każdego dnia. Może dlatego, że już nie mam sił walczyć z pustką, która mnie otacza. Dwaj synowie są daleko, żyją swoim życiem, a ja tu ugrzęzłam w skorupie wspomnień.

Bywa, że wyciągam te stare listy, zdjęcia, przebierając w nich, jak w skarbach. Dłonie drżą, gdy próbuję przypomnieć sobie detale. Czas mnie przerasta, tak jak te stare drzewa przed domem.

Zostaję w cieniu przeszłości, patrząc, jak nowe pędy rosną.

OBCA STARUSZKA

Oczy, które widziały tak wiele, teraz ledwo rozpoznają twarze. Pamięć jak poplamione płótno ledwo wyczuwa kontury przeszłości. Było nas czworo, zawsze razem, teraz jestem sama. Każdego ranka patrzę w lustro i widzę tam obcą staruszkę. Gdzie podziała się tamta dziewczyna z warkoczami? Gdzie zniknęła młoda kobietka, która śmiała się do życia?

Dziś pozostało tylko czekać. Na co? Na ulgę? Na spotkanie z tymi, którzy odeszli? Książki na półkach, kiedyś tak bliskie, teraz odpychają. Czytam, ale nie rozumiem. Jakby litery tańczyły przede mną, szydząc z mojej niemocy.

Modłę się codziennie, choć nie wiem, do kogo. Może do siebie samej, tej dawnej, której już nie ma?

II MIEJSCE NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

ALEKSANDRA WOŹNIAK-MARCHEWKA

PUSTA NOC

Wsceкло spią naji ùmarli

Hanna Makurat-Snuzik

Zimny podmuch, chłostający smugami morskiej wody, wpadł do izby jak tylko Jón otworzył drzwi. Zamknął je z wysiłkiem, bo gdy wichur już raz zaskosztował ciepła domostwa, pchał się do środka z całych sił. Ale gdy zgrzytnęła zasuwka, Jón zdał sobie sprawę, że skowyt nie ucichł. Przytłumiony, ale wściekły ryk wietrzyska było wciąż słyszeć zza okna, ale ze środka chaty dochodził inny dźwięk. Jónem wstrząsnął dreszcz, zimniejszy niż listopadowe morze. Na chwiejnych nogach poszedł w stronę wewnętrznej izby.

Matka i ciotka zawodziły, klęcząc na podłodze, obie z twarzami ukrytymi w dłoniach, Jón stanął w drzwiach i obserwował roztaczający się przed nim obraz. Dziadek leżał na łóżku. Tak samo jak przez ostatnie tygodnie. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Oczy miał zamknięte, siwe włosy i brodę w nieładzie, ale na twarzy widać było ślad rumieńca. Koloru życia, a nie śmierci. A jednak pierś mężczyzny nie unosiła się już pod ciężką kołdrą. Przygotowywali się na to od dawna, właściwie od kilku miesięcy, ale gdy ten moment nadszedł, trudno było znaleźć odpowiednie słowo, gest. Jón myślał, że kobiety nie usłyszały jego kroków, bo żadna nie odwróciła się w jego stronę, ale kilkanaście sekund później matka otarła twarz wierzchem dłoni i wstała. Gdy spojrzała w jego stronę, mimo zaczerwienionych i podpuchniętych oczu biło z niej zdecydowanie i siła. Jak z drzewa na brzegu, które wciąż tkwi wczepione korzeniami w skałę, choć morze zabiera z niej coraz więcej ziemi.

— Idź do księdza — powiedziała mocnym, stanowczym głosem. — Musimy jutro wyprawić pogrzeb.

A więc dziś czekała ich pusta noc.

* * *

Wiatr wył opętańczo. Wszyscy siedzieli w domach, chociaż nie zapadł jeszcze wieczór. Przynajmniej według zegara, bo ciemność przykryła wieś szczelną, atramentową kołdrą, więc równie dobrze mogła wybijać już północ.

Był pierwszy dzień miesiąca. Smutan, miesiąc żalu. Miesiąc zmarłych. Wieczny wid, który zwykle o tej porze roku w dzień zaduszny rozświeślał mrok, teraz został zdmuchnięty zimnym tchnieniem. Zamiast świetlistej łuny pod kościołem tylko gdzieś tam tliły się wątłe płomyki świec, jakimś cudem osłonięte przed wiatrem. Krzyże na grobach sterczały koślawo, większość z nich nie dała rady oprzeć się gwałtownemu wiatrowi, który zwykle przychodził tu znad morza. Kościół wznosił się nad nimi, niczym wielka bryła ciemniejąca na tle nieba, pochłaniająca najsłabsze wiązki światła. Gwizd wiatru w załomach murów sprawiał wrażenie, że cały budynek wibruje. Dziś nie wyglądał jak dom Boży.

* * *

Ojciec Môrcën smutno pokiwał głową, powiedział parę typowych dla takich chwil słów, że Józk był dobrym człowiekiem i że na pewno odnajdzie spokój w Panu. Oczywiście jutro wyprawią pogrzeb.

— Pusta noc w dzień zmarłych... — westchnął ksiądz. — Ależ się złożyło. Może to i dobrze...

Jón tylko kiwał głową, nie odezwał się już. Gdy drzwi chaty księdza zamknęły się za nim, poczuł, że nie chce jeszcze wracać do domu. Potrzebuje побыć sam na sam z myślami.

* * *

W skowycie wiatru słyszał daleki szum morza. Było coraz bliżej. Stopy zapadały mu się w zimny piasek. Ciemne fale, niekiedy zwieńczone jasną grzywą, rozbijały się na brzegu.

Patrzył w morze, w niewyraźny horyzont, gdzie czerń wody łączyła się z czernią wieczornego nieba. Myślał o ojcu, który zginął w czasie polowu dwanaście lat temu. O dziadku, który przez te wszystkie lata starał się mu go zastąpić. O tym, że dziś już oficjalnie został jedynym mężczyzną w rodzinie i od tej pory musi opiekować się matką i ciotką, chociaż myślał, że na wiosnę ożeni się z Eliszką i zaczną nowe życie.

Oderwał wzrok od morza i rozejrzał się. Nie spodziewał się, że zobaczy cokolwiek poza wodą, piaskiem i drzewami. A jednak kilkanaście kroków dalej dostrzegł kobiecą sylwetkę. Długie, ciemne włosy spływały na jej powłóczystą suknię. Poczuł zimny dreszcz na plecach, jeszcze zimniejszy,

niż wiatr smagający jego twarz. Coś jednak ciągnęło go w jej stronę. Zrobił krok, piasek zgrzytnął pod butem. Między zębami też chrząścił mu piach. Kobieta odwróciła się w jego stronę. Twarz miała nienaturalnie białą, tak jasną, że zdawała się świecić upiornym blaskiem. Błede usta poruszyły się bezgłośnie. Oczy błyszczały czernią i granatem nocnego morza, głębokimi jak lodowate fale rozbijające się na brzegu. Nie znał jej. Nigdy jej tu nie widział. Nie mieszkała we wsi, a kto w taki wieczór, w taką pogodę miałby przyjść na piechotę z innej wioski? Chyba, że pochodziła z daleka. Bardzo daleka. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Jedno zdanie i wszystko stanie się jasne.

— Wszelki duch pana Boga chwali. — Głos Jóna drżał.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła na niego smutnymi oczami, ciemnymi i głębokimi jak nocne morze. Już nie było wątpliwości kim jest. Teraz, zgodnie z tradycją, musiał zadać kolejne pytanie.

— Czego ty ode mnie żadasz?

— Pomóż nam — przemówiła metalicznym głosem, w którym wibrował smutek. Jón milczał, oddychał tylko ciężko, starając się opanować drżenie rąk. — Mieszkaliśmy tu. Nasza wieś była bogata. Żyliśmy w dostatku. Ale pewnego dnia przyszło do nas zło. Usłyszeliśmy dźwięk dzwonów. Dzwony przyniosły śmierć.

Przypomniał sobie historie, które opowiadała mu babcia. Mrozące krew w żyłach legendy, którymi straszy się dzieci. Łopi, pomyślał. Upiór, który potrafił zabijać całe rodziny, a nawet całe wioski. Czaił się wieczorami pod oknami chat, a gdy zapadał zmrok zadawał pytanie: śpicie? Jeśli ktoś odpowiedział, wszyscy mieszkańcy domu umierali. Jeszcze gorzej było, gdy dostał się do dzwonnicy. Kto usłyszał bicie dzwonów rozkołysanych ręką demona, na tego spadała śmierć.

— Morze załało wszystko, ale we wsi nie było już śladu życia — kontynuowała dziewczyna. — Co roku w ten dzień, gdy niespokojne dusze błądzą po ziemi, przychodzimy tutaj, szukamy kogoś, kto mógłby nam pomóc. Ale nikt tu nie przychodzi, nikt... Nie możemy odejść od morza, morze nas trzyma, morze nas więzi. Pomożesz nam? Bo inaczej wszyscy, wszyscy będziemy skazani na wieczną tułaczkę — zatoczyła wokół rękami, zawirowała na piasku.

Jón rozejrzał się. Było ich więcej. Na całej plaży, aż po ginący w ciemności horyzont, widać było poruszające się wolno cieniste sylwetki. Drżał na całym ciele. Nie wiedział — z zimna, ze strachu, może z ekscytacji.

— Odejdziemy w spokoju, gdy nasze grzechy zostaną odkupione przed obliczem Pana. Zrobisz to dla nas? Zakończysz naszą mękę?

Gardło ścisnęło mu się, nie wiedział, ze strachu, smutku, czy jeszcze z innego powodu. Powoli kiwnął głową. Musi wrócić do księdza. Chciał już

odejść, pobiec z powrotem do domu Môrcëna, ale metaliczny głos ducha dziewczyny zatrzymał go w pół kroku.

— Poczekaj. Musisz wiedzieć jeszcze jedno. On powróci. Dzisiaj. Dziś mija sto lat od tamtego dnia. Upiór przyjdzie dziś po was. Strzeżcie się.

* * *

Ksiądz Môrcën podniósł krzaczaste brwi i zacisnął usta.

— Stary Hel... — mruknął.

Jón odetchnął z ulgą. To, co przed chwilą opowiedział, wydawało mu się zbyt nieprawdopodobne, żeby ktokolwiek mógł uwierzyć za pierwszym razem. Sam nie był pewien, czy w nią wierzy. Ale przecież wszyscy znali historię o Starym Helu, szczęśliwej i bogatej kiedyś wsi, która została ukarana za pychę. Całą wieś przykryły zimne fale Bałtyku, nie został po niej nawet ślad, nawet jedna belka z chaty ani potłuczony garnek.

— Czyżby te bajania były jednak rzeczywiste? — Głos księdza wyrwał go z rozmyślań. — Jeśli mówisz prawdę, a jak cię znam od dzieciaka, nigdy nie skłamałeś, to dusze mieszkańców wciąż nie mogą zaznać spokoju. Muszę odprawić mszę za zmarłych.

Môrcën wstał od stołu i podszedł do szafki w rogu pokoju. Wyciągnął butelkę z ciemnoczerwonym płynem i dwa małe kieliszki. Odkorkował, nalał prawie pod krawędź. Postawił oba na blacie, jeden przesunął w stronę Jóna. Napili się w milczeniu. Nalewka przyjemnie rozgrzewała gardło.

— To wystarczy? — odezwał się wreszcie Jón. — Żeby zbawić całą wioskę? Tylko jedna msza?

Ksiądz pokręcił głową z lekko kwaśnym uśmiechem. Jego zmarszczki wydawały się głębokie jakby ktoś wyciął je nożem w drewnie.

— To nie będzie zwykła msza — powiedział wolno. — Pewnego rodzaju... szczególna procesja. Muszę iść na brzeg... Zebrać te wszystkie błądzące dusze. Później zaprowadzę je do kościoła. Tam będę mógł zacząć modlitwy.

— Dzisiaj? Musimy to zrobić dzisiaj? — Jón przypomniał sobie słowa dziewczyny. „Co roku w ten dzień...”.

— Dzisiaj — Môrcën kiwnął głową, ze wzrokiem utkwionym w dnie kieliszka. Kręcił nim, jakby próbował odczytać tajną wiadomość, widoczną tylko pod odpowiednim kątem. — Ale nie my. — Rzucił nagle stanowczo. Podniósł głowę i utkwiał wzrok w oczach Jóna. — Nikt nie może mi towarzyszyć. Nikt nie może też wejść do środka, bo wtedy... duchy rozerwą go na strzępy.

Jón nabrał powietrza ze świstem. Teraz on zaczął bawić się kieliszkiem.

— Odprawię mszę o północy — kontynuował ksiądz. — Wtedy wszyscy będą już spać, nikomu nie przyjdzie do głowy wchodzić do kościoła...

— My nie będziemy spać — przerwał mu Jón.

— No tak... — zamyślił się ksiądz, pocierając szczeciniasty podbródek.
— Pusta noc...

Zabębnił palcami w stół. Chwilę kręcił się niespokojnie na krześle.

— Nie zapraszajcie nikogo. Niech siedzą w domach. A ty pilnuj, żeby matka ani Agnes nie opuszczały domu.

— A... co z łopim? — spytał Jón z wahaniem. — Czy to możliwe, że...?

Słowa uwieźły mu w gardle, ale Môrcën zrozumiał.

— Józk zmarł we własnym domu, otoczony rodziną... Jego dusza powinna odejść w pokoju, ale... Na wszelki wypadek obserwuj go. Nie rób nic beze mnie. Zróbcie wszystko, jak każe obyczaj, a o świcie przyjdź do mnie i ustalimy co dalej robić. — Uniósł otwartą dłoń w powstrzymującym geście, widząc, że Jón planuje coś powiedzieć. — Poradzę sobie sam ze Starym Helem.

* * *

Kolejna porcja kawy bulgotała w rondelku na piecu. Zapach wypełniał już cały dom. Jón siedział przy stole, nerwowo rysując palcem wzory na białym obrusie. Matka siedziała po drugiej stronie, wertując śpiewnik. Odśpiewali już „Za starosty Marcyjana”, wszystkie pięćdziesiąt sześć zwrotek. Pieśń na trzy głosy nie miała takiej mocy jak wtedy, kiedy intonowała ją cała wioska. Matce wyraźnie było przykro z tego powodu. Mimo to, Jón jakoś zdołał ją przekonać, że ojciec Môrcën poprosił ich, by nie zapraszali dziś nikogo i odbyli pustą noc tylko we własnym gronie. „Powiedział, że cała wioska pożegna dziadka jutro, w czasie pogrzebu, a dzisiaj jest niebezpiecznie, sztorm, wiatr...”, Jón próbował na wszystkie sposoby. Agnes rzuciła mu wtedy krzywe spojrzenie znad rondla z kawą i parsknęła cicho. Nie była przekonana, ale też żadna z nich nie miała odwagi sprzeciwić się księdzu.

— Ech, ledwo co północ minęła... — mruknęła Agnes, rozlewając kawę do kubków.

Postawiła parujący napój przed Jónem, ten jednak, zamiast od razu się napić, wstał od stołu i poszedł do drugiej izby. Zatrzymał się w progu i lustrował leżące na łóżku ciało. Czy wszystko jest tak, jak być powinno? Podszedł powoli, krok za krokiem. W sąsiedniej izbie matka i ciotka intonowały kolejną pieśń. Pochylił się nad łóżkiem. Twarz dziadka była wciąż lekko zaróżowiona. Jón wyciągnął rękę i dotknął policzka zmarłego. Był ciepły. A może tylko mu się wydawało? Może to przez gorąco bijące z pieca? Albo... To on, pomyślał. To musi być on. Kobieta na brzegu zapowiedziała, że powróci dziś w nocy. To nie może być przypadek. A może mu się tylko wydaje? Może to tylko światło. Na chwiejnych nogach wrócił do stołu. Napił się. Miał nadzieję, że gorzki smak na języku przywróci mu ostrość zmysłów.

Minęło kilkanaście minut. Kręcił się niespokojnie na krześle. Wstał. Znow poszedł przyjrzeć się ciału. Nie było blade. Bez wątpienia. Miał rację. Poczuł zimno przeszywające całe ciało. Wyszedł z pomieszczenia.

— Mamo... Musicie iść... na plebanię — wyjąkał słabym głosem, gdy stanął przy stole.

Matka podniosła na niego niewidzący wzrok.

— Na plebanię? Po co? — spytała nieprzytomnie.

— Musicie iść do księdza. Ja tu zostanę, dobrze?

— No to ty idź lepiej. — Wzruszyła ramionami i upiła łyk kawy.

— Nie! Wy musicie iść — powiedział Jón z naciskiem.

— Jónk, co ci jest? — W głosie Agnes był niepokój. — Żle się czujesz? Może się połóżysz?

„Zaraz. Nie mogą wyjść.” Podszedł do drzwi i upewnił się, że są zamknięte na klucz. Matka i ciotka patrzyły na niego zdezorientowane. Ostrożnie, tak, żeby nie zauważyły, schował klucz do kieszeni. Usiadł znow przy stole. Teraz przez chwilę musi zachowywać się normalnie, żeby uspić ich czujność. Gdy skończyli śpiewać kolejną pieśń, a Agnes wstała, by przygotować kawę, Jón ponownie ruszył do sąsiedniej izby. Spokojnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń, powtarzał sobie, ale sam czuł, że jego chód był sztywny i nienaturalny. Podszedł do łóżka i jeszcze raz badawczo przyglądał się twarzy dziadka. Nie mylił się. Rumieniec na policzkach. Odwrócił się i zmrużył oczy. Potężna, drewniana szafa, stała zaraz obok wyjścia. Podszedł do niej i pchnął ją lekko. Przesunęła się z ciężkim skrzypnięciem.

— Jón? Co ty tam robisz? — Usłyszał wołanie matki. Jeden szybki ruch. Raz, dwa, trzy. Pchnął szafę.

— Jóóón! Co ty wyprawiasz?! — Teraz krzyczały jedna przez drugą.

Nieważne. Trochę minie, zanim poradzą sobie z odsunięciem szafy. Obie były drobne, już niemłode. Sam jeden miał więcej krzepy niż one dwie razem wzięte.

Otworzył okno. Zimny, wilgotny podmuch wpadł do izby. Przeszedł go dreszcz. Pochylił się nad ciałem i dźwignął je w ramionach. Dziadek był kiedyś wysokim, postawnym mężczyzną, tak jak, podobno, ojciec i on sam, ale ostatnie miesiące choroby sprawiły, że schudł i zmizerniał. Podszedł do okna. Wziął głęboki oddech. Przez chwilę mocował się z ciałem, ale w końcu udało mu się przerzucić je przez parapet. Teraz musiał wyjść sam. Tylko jak? Podsunął łóżko pod okno. Stanął na nim, po czym zawisł na parapecie, z górną połową ciała na zewnątrz i dolną w środku. Odepchnął się mocno rękami, po czym spadł na błotniste podwórze.

Wstał szybko, nie ocierając nawet zimnego błota z twarzy. W szopie powinna być łopata. Wrócił po chwili. Przymierzył łopatę do szyi dziadka.

Przełknął ślinę. Zamachnął się, ale nie dał rady. On powróci, przypomniał sobie słowa zjawy. Łopi. Dzwony zwiastujące śmierć. Robi to dla całej wioski. Dla wszystkich. Zamachnął się jeszcze raz i uderzył. Jeden raz, drugi, trzeci. Z otwartego okna chaty sączyło się niewyraźne światło. Był jednak pewien, że oczy odciętej głowy otworzyły się szeroko i spojrzały na niego, błyskając przekrwionymi białkami.

* * *

Jón pędził co sił w nogach. Między zębami czuł zgrzytający piasek. Wiatr chłostał go mokrymi wstęgami deszczu. Miał nie przeszkadzać księdzu, ale co innego może zrobić w takiej sytuacji? Wązą się losy całej ich wioski. Czy upiór został unieszkodliwiony? Czy opuścił ciało i już nie wróci? Na pewno? Już po północy, może msza się skończyła... Po prostu poczeka pod drzwiami. Jeszcze parę kroków. Nagie korony drzew kołysały się na wietrze jak sękaty dłonie wzniesione w modlitwie do nocnego nieba. Pośród nich tkwiła czarna bryła kościoła. Mdłe światło sączyło się z niewielkich okien. Nie słyszał, czy z wewnątrz dobiega jakikolwiek dźwięk. Wycie wiatru zagłuszało wszystko. Zimne powietrze chłostało policzki, stawiało opór, jakby nie chciało, żeby dotarł na miejsce. Opierając się podmuchom, podszedł do masywnych, drewnianych wrót i przyłgął do nich.

— Jón? To ty? — usłyszał z wnętrza przytłumiony głos ojca Môrcëna. Jak zdołał usłyszeć go w tej wichurze? Zawahał się chwilę, po czym potwierdził.

— Wejść do środka, już po wszystkim — mówił dalej ksiądz.

— Przecież miałem nie wchodzić! — zawołał, starając się przekrzyknąć wiatr.

— Wchodź, już wszystko skończone! — odpowiedział głos ze środka. Jón pchnął drzwi.

* * *

Wrota skrzypnęły ciężko. Jón przecisnął się przez szparę w drzwiach. Wiatr dociskał je z całych sił, jakby nie chciał go wypuścić z kościoła. Przygarbiona sylwetka zataczała się w niezgrabnym, ciężkim chodzie. W zębach Jóna zgrzytał piach. Czuł smak surowego mięsa.

— Chto te zwòně czëje, mùszi ùmrzec¹... — szepnął do siebie i ruszył w stronę dzwonnicy.

1 Kto usłyszy te dzwony, musi umrzeć.

III MIEJSCE

JOLANTA KAPICA

TATO, TATO...

U nich zawsze rozbrzmiewał śpiew: *I jo se tyż musioł, bo mi się porusoł, Hej, mości panowie, kapelus na głowie*. Dziadek, stary muzyk — śpiewak — organista, na zawołanie miał przyśpiewki, nie zawsze grzeczne.

Bardzo kochał swoją Olę. Byli razem 65 lat. Nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia westchnie głębiej i odejdzie. Pełna życia, energiczna, nie do zdarcia. Został sam w domu „za wsią”. Nigdy nie narzekał. Z natury był optymistą. Brał ustną harmonijkę i zabawiał wdówki, które go nawiedzały: *Miła Walerciu kupię ci, kupię ci fiata, na stare lata, miła Walerciu kupię ci*. Nic nie kupował, nie miał za co, ale atmosferę czarował. Zawsze uśmiechnięty, z pełną gębą zębów, tych trzecich, za emeryturę, jak mawiał, dobrze zbudowany — śmietana i świeży chleb nie były mu obce, z siwą, nadal bujną czupryną, choć *o kryczce*. Radził sobie jak mógł. A że niewiele mógł, źle sobie radził. Po gospodarce guzik zostało. Po podwórku pałętało się jeszcze kilka kur i kogut, jedyni towarzysze codziennego rytuału obchodzenia schedy.

Zamknął oczy. Rozpostarła się przed nim trzyhektarowa przestrzeń zasiana ozimym. Gdy zielone przebijało z brunatnej skorupy, przychodził i głaskał, jak grzywkę dziecka. Tego szacunku do ziemi i plonu uczył go jego ojciec. Po wojnie za wszystkie pieniądze, jakie zarobili, kupowali ziemię. Był gospodarzem na całą okolicę, całą gębą. To on oddawał najwięcej najlepszego mleka, to on miał najlepsze gatunkowo zboże, bo zainwestował w maszyny i spichlerze, to on miał najlepsze tusze i mąkę, a tym samym najlepsze żarcie.

Coś go szturchnęło w kolano. To Burek zerwał się z łańcucha dwa dni temu i wreszcie wrócił do domu. Powiesił psa przy budzie, dołał wody i podzielił się z nim kromką ze smalcem. Jego Ola piekła najsmaczniejszy chleb w okolicy. To dla niej sprowadził zdolnego zduna, by to *ustrojstwo*, czyli piec, postawić. Cieszyło go, gdy wnuki przyjeżdżały na rowerach i z pajdami ciepłego jeszcze chleba z masłem biegały po podwórku, zaganiając kury

do kurnika, dawały psu jeść, pomagały zamykać bańki z mlekiem, po tym, jak napiły się tego ciepłego, prosto od krowy, jak zarzucały mu ręce na szyję z prośbą: *Zaspiewaj dziadku*. Jego Ola obruszała się, że ona sama chłodzi mleko, a on z wnukami baraszkuje, ale tak naprawdę, jak odwracała głowę, uśmiechała się pod nosem. Kochała go, zrobiłaby dla niego wszystko. Przecież pomogła mu przejść tyfus, wozila po lekarzach, by zaleczyć gruźlicę, robiła, co mogła, by jej wymarzony Stach z nią został.

Kromka się skończyła, dzień się skończył, więc wrócił do izby. Długo nie mógł zasnąć. Wciąż mu się wydawało, że słyszy niespokojny, chrapliwy oddech swojej Oli. A minęło już 5 lat...

Siedział na bocianim gnieździe. Jego wzrok przesuwiał się od horyzontu w stronę najbliższych domów. Najpierw wybuchy i dymy. Widział siebie uciekającego na koniu, gdy podał rękę wystraszonej dziewczynie schowanej za kopcem kartofli. Co prawda bombardowanie nie ucichło nawet wtedy, gdy gnali długo przez las, ale w końcu dotarli do jeziora. Wtedy koń odmówił dalszej jazdy...

Potem zobaczył kolorowe plamy, zmrużył oczy, by dostrzec ich kontury i zobaczyć, dlaczego tak szybko migają. A to była zabawa dożynkowa u bauera. Ale się wtedy wybawili! Na początku grał, był specjalistą od trąbek. Klarnet też nie był mu obcy, więc oczy dziewcząt zawsze świeciły się na widok Stacha. Ale on już miał upatrzoną swoją Olę. Tu ją zabrał, tu się nią opiekował, chciał z nią po wojnie zacząć nowe życie. I wtedy pierwszy raz ją pocałował. Świat się zatrzymał...

Ale nagle kolory zbladły i ustąpiły miejsca zieleni. Piękna łąka, którą kosił, jadąc ursusem trzydziestką. Jako pierwszy miał taki ciągnik we wsi. Dumny był. Jego siano pachniało szczęściem. Spali na nim zaraz po wojnie. Teraz już w siennikach nie ma siana, jest porządny materac, a pierzyny są z dartego pierza, ale zaraz po wojnie to suche siano było na wagę złota. Położył się na zgarniętej skibie wysuszonej trawy i głęboko wciągnął zapach płodu ziemi. Zakrzusił się, nie mógł złapać oddechu, widział jak przez mgłę twarz swojej Oli z wielkimi z przerażenia oczyma. Jacyś biali ludzie, jakaś biała sala i ... Długo nie było go w domu. Ale radzili sobie. Córka i syn od początku w gospodarstwie pomagali jak mogli. Nosił wysoko głowę, ma syna, dziedzica rodu. Potomek być musiał. A jak się cieszył, gdy urodziła mu się najmłodsza!... Cmentarz. Piękne słońce, a oni nad grobem. Środek żniw, a oni tu. Dlaczego tak się stało, synku? Tyle razy prosił, by pijany na traktor nie wsiadał, ale on uparty był, a gdy pochował żonę z dzieckiem, którym nie dane mu się było nacieszyć, coś w nim pękło. Teraz dopiero go zrozumiał. Wtedy próbował stawiać do pionu. Słyszy krzyki. To jego wnuki. Kochane dzieciaki. Żywe srebra. Dobrze, że jedno z nich odziedzi-

czyło po nim talent muzyczny. Razem sobie przyśpiewują przy zagrabianiu siana lub zbieraniu jajek: *Idzie dziewczę po lesie, pod fartuszkem coś niesie*. Spojrzał w dół. Zauważył dwie kobiece postacie wpatrujące się w niego i poczuł szarpnięcie za ramię.

— Tato, tato! Co ci jest?

Otworzył oczy. Pochylała się nad nim młodsza córka. Nie wiedział, o co chodzi. Przecież spał. Okazało się, że nie. Podążając w stronę łóżka, potknął się i przewrócił. Złamał nogę i stracił przytomność. Dobrze, że wdówki czuwały. W szpitalu doprowadziły go do porządku — *doktory*, nie wdówki. Ale sam już nie mógł mieszkać. Na okres rekonwalescencji zabrała go pierworodna. Pracowała w domu, więc mogła go doglądać.

— Będzie tato *zaopiekowany*.

Ej, posadzili bacę, na brzegu Dunajca, ej, za pomocą kosa, obcięli mu... włosy — cieszył się dziadek, że sam nie zostanie.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? Codzienne mycie, opatrunek, zastrzyki, basen. Teściu nie jest chucherkiem — „motywował” żonę ten, u którego w domu przez jakiś czas pojawiło się szpitalne łóżko z wyciągiem.

— Jakoś to będzie. Oby tylko szybko wydobrzeał — najstarsza córka nie przyjmowała innej opcji. Trzeba tatusia, tak, inaczej o niem nie mówiła, doprowadzić do porządku.

Dni mijały dziadkowi na lekturze lokalnej gazety, zajadaniu pyszności, rozmowach z gośćmi, ćwiczeniach, higienie osobistej. Powoli wychodził z niemożności. Szybko wziął się za kule. Ten okres dla jego córki to podciąganie ojca do porannej toalety, zmiany basenów, szykowanie posiłków, mycie podłóg, mycie dziadka, zmienianie pościeli, masaże, zastrzyki, rozmowa, uśmiech na twarzy. Nigdy nie jęknęła, że coś ją boli. Cieszyła się, gdy słyszała: *Ej, posadzili bacę, na kamieni kupę, ej, obchodzili wkoło, całowali w... czoło*. Babcie, które dziadka odwiedzały były pąsowe, a dziadek zachwycony. I te chwile szczęścia taty, były dla niej najważniejsze. Obdarowana córka przyjechała raz, czy dwa oznajmić, że trzeba by sprzedać jeszcze ten traktor, który został, bo niszczeje, a już kupca ma.

Dzień, w którym miał wrócić do domu „za wsią” wreszcie nadszedł. Zawiozła go młodsza, której schedę zapisał. Tam na podwórku głęboko westchnął i przez moment nawet swoją Olę zobaczył. Przyszła się przywitać? O kulach, ale sam, dziarsko wkroczył do kuchni. Dziewczyny posprzątały wszystko. Obiad parował na piecu, kawa zaparzona, wszystko tak, jak lubił.

— Tato. Nie możesz zostać sam — usłyszał, gdy pochylał się nad talerzem grochówki, by chlipnąć kolejną porcję. — Nie dasz rady. Opiekunkę ci załatwię.

Nie chciał tu nikogo. Po kilku dniach telefon. Zadzwoiła jedna z wdówek. Wstawił sobie ziemniaki, zasnął i ziemniaki spaliły się. Mało brakowało i on też by się spalił. Już tam! Zniecierpliwił się, gdy córka utyskiwała. Jemu się wydawało, że jego Ola była w kuchni i kazała mu się położyć, bo źle wygląda. Więc sobie poszedł. A to nie była Ola.

Córki naradziły się. Tato nie może być sam. Jeszcze do końca nie jest samodzielny, tęskni za żoną tak bardzo, że już ją widzi.

— Ale ja go nie mogę wziąć. Wiesz, jaką mam sytuację. Mój mąż nigdy się na to nie zgodzi — tłumaczyła się ta najukochańsza, bo najmłodsza.

— Jak to? Przecież dostałaś gospodarstwo w spadku, opiekowałaś się teściem i teściową, a teraz tatuś nie ma u ciebie miejsca? — pierworodna próbowała wzruszyć siostrę. — Pomogę ci.

— Tato będzie w Zakładzie Opieki Leczniczej. Na pewno będzie mu tam dobrze — tłumaczyła, sama nie wiedząc komu.

Nie było najlepiej, wiedział o tym. Jakoś po tym szpitalu drewniane ręce mu się zrobiły. Na podwórku cicho, kury zabrali, przy budzie pusto, Morus na służbę do kuzynostwa poszedł, żeby nie zdechł. Traktor sprzedał — na leki zabrakło, taka to rolnicza emerytura. A teraz do obcych...

— Olu, jak to będzie? Przecież tam mnie nikt nie zna. Z kim ja sprośne kawały poopowiadam, z kim pośpiewam *zbereżne* piosenki, w jakim miejscu cię zobaczę, jak tam nigdy razem nie byliśmy?

— Nie martw się już o nic. Chodź do mnie. Przytul się. Wietrznie od zachodu, a ty znowu plułeś rano krwią.

Pocałował ją w rękę. *Miła Oleńko kupię ci, Miła Oleńko kupię ci, kupię obrączkę na prawą rączkę, miła Oleńko kupię ci...*

.....

— Tato, tato... — łkając, kryła twarz w dłoniach starsza córka.

Żółte i czerwone liście szeleściły pod nogami wracających z cmentarza.

— *I jo se tyż musioł...* — zdawało się, że zagwizdał wiatr.

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI LĘBORSKIEJ

MAGDALENA HOCZYK-BANDA

GOŁĄB NA KLIFIE

W ciemnym mieszkaniu na trzecim piętrze nic nie było takie, jak powinno. Gładki stolik z Ikei gryzł się ze starą, toporną meblościanką. Mroczny korytarz wyłożony boazerią aż prosił się o potraktowanie jasną farbą. Z kolei koronkowe firanki w salonie były tak samo brzydkie, co niepraktyczne.

Jednak Ina najbardziej nie lubiła łazienkowych płytek w złoty, grecki wzór. Ktoś uznał, że umieszczenie ich w obskurnej przestrzeni z różową wanną będzie dobrym pomysłem. Ta bezwstydną kiczowatość szargała jej poczucie estetyki podczas każdej wizyty w toalecie.

Wprowadziła się tutaj niecałe pół roku temu. Rodzice z ulgą przyjęli fakt, że opuszcza ich małą, kaszubską wioskę. Byli dumni, że pomimo wygody i obiadu pod samym nosem wołała się usamodzielnąć. Wyjechać do miasta „zdobywać wielki świat”.

Nie uwzględnili, że wyprowadzka nie poskutkuje zmianą charakteru.

— Kochanie, nie możesz się tak izolować.

— Mamo... — zachnęła się Ina podczas ich kolejnej rozmowy telefonicznej, która znów zakończyła się tym samym: pełnym wyrzutu komentarzem ze strony matki. — To nie jest takie proste.

— Ale co nie jest proste? Jesteś młoda. Powinnaś się bawić, wychodzić z domu. Nie po to wyjechałaś?

Ina zacisnęła powieki. „Nic dziwnego, że nie rozumiesz” — pomyślała. — „Jesteś z innej epoki”.

Matka poznała ojca, gdy miała 18 lat. Zaradny rolnik z kawałkiem ziemi szybko zdobył jej serce. Wzięli ślub po zaledwie kilku miesiącach znajomości. W ekspresowym tempie zbudowali dom i spłodzili dziecko. Słuchając tej historii, Ina utwierdzała się w przekonaniu, że poprzednie pokolenia miały mniej skomplikowane potrzeby.

W oczach rodziców Inę ratował jej zawód. Ze względu na brak męża, dzieci, czy nawet psa, matka lubiła tłumaczyć swoją jedynaczkę nawałem pracy. Umiejętność programowania stanowiła idealną wymówkę dla jej porażek na innych życiowych polach. Dlatego, jeśli ktokolwiek pytał o córkę,

rodzicielka natychmiast wyciągała kartę „genialnej programistki”, co skutecznie zamykało temat.

Ina nie uważała swojej pracy za coś szczególnego. Pierwsze zawodowe kroki stawiała w wieku 19. lat, co dało jej łatwy start. Jako osoba z umysłem ścisłym doskonale odnajdywała się w gąszczu kodów i instrukcji. Jednak najważniejsze było to, że nie musiała wychodzić z domu.

Rodzice z radością przyjęli informację o jej wyjeździe. Liczyli, że dzięki temu zacznie funkcjonować jak „normalna osoba w tym wieku”. Chorobliwe nieśmiała, zamknięta w sobie 28-latka wynajęła więc pierwsze lepsze mieszkanie z serwisu ogłoszeniowego. Właściciel oferował niskie opłaty i umowę od ręki.

Podczas oglądania nowego lokum spociła się jak mysz. Na każde pytanie odpowiadała kiwając lub kręcąc głową. Po wszystkim doszła do wniosku, że kolejnych oględzin nie zniesie. Dlatego podpisała umowę, która uwięziła ją w tym miejscu na najbliższy rok.

* * *

Dni Iny wyglądały tak podobnie, że niemal zlewały się w jeden. Wstawała o siódmej, ćwiczyła, jadła i zaczynała pracę. Później znowu jadła, oglądała filmy, czytała, grała na konsoli. Czasem wstawiała pranie, które później wywieszała na wąskim, uporządkowanym balkonie.

Przez pogłębiającą się od wyprowadzki fobię społeczną funkcjonowała jak robot. Miała wrażenie, że jej umysł przestaje różnić się od programów, które pisze.

W rezultacie nadrzędnym celem Iny stało się niewychodzenie na zewnątrz. Kontakty z przypadkowymi ludźmi były dla niej tak absurdalnie męczące, jak wejście na Mount Everest w samych gaciach. Dlatego tylko raz w tygodniu robiła szybkie zakupy, a później z ulgą zaszywała się w ciemnym, obskurnym mieszkaniu.

Chwilami marzyła o zwierzaku, ale szybko odpędzała tę myśl. Opieka nad czymś żywym stworzyłaby przed nią zbyt wiele nowych wyzwań. Musiałaby jeździć do weterynarza, kupować karmę, pamiętać o szczepieniach lub – co gorsza – rozmawiać z innymi właścicielami zwierząt. Wszystko to wymagałoby interakcji z obcymi ludźmi. Czyli czegoś, co Ina ograniczała do niezbędnego minimum.

* * *

Nie potrafiła określić momentu, w którym została *nolifem*. Może już w podstawówce, gdy miała tylko jedną koleżankę? Albo w liceum, kiedy klasa wyśmiewała jej rude, kręcone włosy? A może dopiero po dwudziestce?

Tuż po ukończeniu szkoły kontakty towarzyskie Iny szybko ograniczyły się do rodziny, sąsiadów oraz najważniejszego: internetowych forów.

Sieć stanowiła centrum jej życia towarzyskiego. Szczególnie upodobała sobie serwer na Discordzie dotyczący pewnej popularnej gry. Jako Malenia1234 udawała kogoś, kim nie była: towarzyską, otwartą dziewczynę sukcesu. Nawiązała nawet silną więź z użytkowniczką o pseudonimie BloodyWolf. Podczas rozmów na prywatnym czacie dowiedziała się, że jej internetowa koleżanka cierpi na chorobliwą otyłość. Podobnie jak Ina, była rozczarowana swoim życiem i wołała unikać ludzi. Pomimo życia w różnych częściach Polski, obie czuły, że znalazły prawdziwą przyjaźń.

* * *

Tuż po przeprowadzce Ina z ulgą wydedukowała, że mieszkanie za ścianą stoi puste. Do tego jej balkon był oddzielony od sąsiedniego wysoką, drewnianą ścianą. W rezultacie czuła się tam całkowicie bezpiecznie. Do tego stopnia, że czasem kładła się na balkonie, puszczała muzykę i śpiewała, fantazjując, że występuje w teledysku.

Piękny czerwcowy dzień był idealną okazją na takie małe szaleństwo. Ina narzuciła sukienkę i wyszła na rozgrzany balkon. Rozłożyła się wygodnie na kocu, zamknęła oczy i włączyła muzykę z telefonu. Leżąc na gorących, nieco nierównych płytkach, bez skrępowania wtórowała wokaliście.

— Nieźle śpiewasz — Ina aż podskoczyła na dźwięk głębokiego, męskiego głosu, który dobiegał wprost zza drewnianej ściany.

Ktoś tam był.

Oblał ją zimny pot. Co teraz? Jak mogła stracić czujność? Czemu nie zauważyła, że ktoś tu siedzi? Katując się w myślach za własną niefrasobliwość, podjęła decyzję o ucieczce. Pospieszenie chwyciła za telefon.

— Eee... przepraszam, że tak nagle — powiedział mężczyzna. W jego głosie wybrzmiewało poczucie winy. — Nie chciałem cię wystraszyć.

— N... nic się nie stało! — wykrztusiła Ina i skierowała się w stronę wyjścia.

— Słuchaj, wiem, że długo tu mieszkasz... Przepraszam, głupio wyszło — powiedział w pośpiechu, jakby podejrzewając, że jego rozmówczyni nie jest skora do rozmowy. — Pomyślałem, że się przedstawię.

Dziewczyna czekała w ciszy.

— Mam na imię Mateusz — kontynuował незнаjomy. — Zrobiło się tak ładnie, że grzech siedzieć w domu.

— Ina — wyrzuciła z siebie. Po plecach spłynęła jej strużka potu. — Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że obok nikt nie mieszka.

— A, no tak... — roześmiał się Mateusz. Miał przyjemny, lekko zachrypnięty głos. — Dopiero wróciłem z długiego... długiej podróży. Do tego zazwyczaj siedzę w pokoju z dala od twojej ściany.

— Aha — odpowiedziała Ina. Uznała, że ma dość. — Miło cię poznać. Wracam do pracy.

— Ciebie też miło poznać! Jakbyś chciała pogadać, będę na balkonie.

„Ta, jasne” – pomyślała Ina. Drżącymi dłońmi wyłączyła wciąż grającą muzykę i czmychnęła do środka, boleśnie uderzając się o ścianę. Wskoczyła do salonu, po czym z ulgą opadła na kanapę.

* * *

Przez następne dni unikała balkonu jak ognia. Od czasu do czasu wychylała jedynie głowę, próbując wybadać, czy Mateusz faktycznie tam przesiaduje.

Ku jej rozpaczy pojawiał się każdego dnia. Czasem towarzyszył temu jakiś dziwny, posuwisty lub metaliczny dźwięk. W wielu przypadkach Mateusz sam puszczał sobie muzykę (całkiem niezłą, jak zauważyła Ina). Zastanawiała się, czy nie próbuje jej w ten sposób zwabić. Czuła się trochę jak zwierzyna tropiona przed myśliwego.

Pięć dni intensywnych rozmyślań wystarczyło, aby doszła do wniosku, że balkon należy się jej jak psu buda (jak zwykł mawiać jej ojciec). Było upalne lato. Uda Iny boleśnie przyklejały się do kanapy ze sztucznej skóry. Do tego nadal nie chciała wychodzić z domu. Balkon był jej jedyną szansą na złapanie świeżego powietrza.

Wreszcie postanowiła ignorować natrętnego sąsiada. W razie czego zamierzała udać, że słucha muzyki na słuchawkach. Przecież i tak nie mógł jej zobaczyć.

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw, wzięciu trzech głębokich oddechów i napisaniu kilku zropaczonych wiadomości do BloodyWolf, wślizgnęła się na balkon najciszej, jak potrafiła. Zza drewnianej ściany nie dochodził żaden dźwięk. Zadowolona z siebie Ina cichutko rozłożyła koc.

— Halo? — zawołał Mateusz.

„Jednak tu jest” — pomyślała, rzuciła bezgłośnie „kurwa” i odpowiedziała, siląc się na najmiłszy możliwy ton:

— O, cześć!

— W końcu cię złapałem! Już myślałem, że nigdy nie wyjdiesz.

— T-tak... Miałam dużo pracy.

— Jasne — w jego głosie wyczuła uśmiech. — To co, może opowiesz mi o sobie? Czym się zajmujesz?

— Jestem programistką.

— Wow, super! — Mateusz był pod wrażeniem. — I co, fajna praca?

— Może być. Nieźle płacą... — wzruszyła ramionami i ucichła. Brak kontaktu z ludźmi upośledził jej zdolność do swobodnej konwersacji.

— Mhm. A oprócz tego czymś się interesujesz? — Mateusz wyraźnie chciał podtrzymać rozmowę.

— Yyy...w sumie to nie wiem... — spieszyła się Ina. Przecież nie powie mu o grach. — Słuchaj, chciałam tu tylko poleżeć i posłuchać muzyki... Jeśli nie masz nic przeciwko.

— O, jasne. Chętnie posłucham razem z tobą... Jeśli nie masz nic przeciwko — skontrował Mateusz. — Ten ostatni kawałek strasznie mi się podobał. Ten, którego słuchałaś poprzednim razem.

— Naprawdę?

— Żartujesz? — odpowiedział podekscytowany — Był genialny! Masz świetny gust.

Ina poczuła, że lekko się rumieni. Zerkając na telefon niczym nieufny szczeniak przed którym pomachano puszką karmy, puściła ulubioną, rockową *playlistę*.

Siedzieli tak przez dłuższy czas. Dźwięki gitary mieszały się ze zgiełkiem miasta. Po dziesięciu minutach usłyszała zachwycony okrzyk Mateusza:

— O, gołąb! Na ścianie, widzisz?

Spojrzała w górę. Na krawędzi ściany stał ładny, szaro-biały gołąb z rytmicznie poruszającą się główką. Wzruszyła ramionami.

— Latający szczur.

— No co ty? Gołębie to ciekawe ptaki.

— Jakoś wątpię.

— Okej, *challenge accepted* — zaczął Mateusz. — Wiedziałaś na przykład, że pochodzą od udomowionych gołębi skalnych? Kiedyś ich domem były klify i skały, dzisiaj nasze bloki. Widzisz, jakie są zaradne?

— I tak ich nie lubię.

— Twarda zawodniczka. No to kolejna próba — zaśmiał się chłopak. — Gołębie wiążą się w pary na całe życie. Są ze sobą mocno zżyte, dzielą się obowiązkami. Razem karmią młode i tak dalej.

— O, to już lepsza informacja — odpowiedziała Ina. Czuła, jak w miarę rozmowy ulatuje z niej stres. — Dobra, gołębie nie są takie złe.

— Jeden zero dla mnie!

Od tej pory spotykali się regularnie. Po tygodniu balkonowe rozmowy z sąsiadem stały się dla Iny najważniejszym punktem dnia. Mateusz miał radiowy głos i talent do mówienia o zwykłych rzeczach w niezwykle sposób. Rysował przed nią intrygujące historie z życia sikorek, gołębi, bocianów i kruków. Czasem trochę zmyślał, tłumacząc to niepomahowaną inwencją twórczą.

Do niedawna smutna i pozbawiona sensu życia dziewczyna, z ekscytacją wyczekiwała na każdą konwersację niczym na nowy odcinek ulubionego show. Zazwyczaj kładła się na rozgrzanych płytkach i dawała ponieść opowieściom, które były snute zachrypniętym, głębokim głosem Mateusza.

Z biegiem czasu Ina mówiła coraz więcej: o sobie, swojej pracy, internetowej koleżance, lękach i problemach w kontaktach z ludźmi. Przez ponad miesiąc spotykali się wyłącznie na dwóch przyległych balkonach, gdzie zza drewnianej ściany rozprawiali o wszystkim – od ciekawostek na temat ptaków, po rozmowy o poczuciu samotności i wykluczenia – mimo że nigdy nie widzieli się na oczy.

Tak samo, jak Inie, Mateuszowi w pełni odpowiadała forma tych spotkań. Na początku wyjaśnił, że jest nieśmiały. Dopiero później wyznał, że ma jeszcze inny powód, którego wolałby nie zdradzać. Ina, pełna zrozumienia ze względu na własny wstyd i dobrowolną izolację, postanowiła nie drążyć tematu.

— Jak mnie sobie wyobrażasz? — zapytał pewnego dnia.

— Kojarzysz tego aktora, Roberta Pattinsona?

— Jezu, poważnie?! — Mateusz nabrał powietrza. — Ale tak, wyglądam totalnie, jak jego bliźniak.

Mijały tygodnie. Ina miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie była tak spokojna i szczęśliwa. Jednak im dłużej to trwało, tym mocniej uwierał ją ten platoniczny, nieco odrealniony charakter relacji.

Nie raz fantazjowała o spotkaniu z Mateuszem. Próbowwała wyobrazić sobie jego oczy, dłonie, usta. Jednak w jej głowie funkcjonował jako głos – pozbawiony formy i niedostępny niczym ulubiony wokalista czy prezenter radiowy. Miała wrażenie, że darzy uczuciem nie człowieka, a ułudny, niecielesny twór.

Chwilami nabierała odwagi i dzieliła się tym z obiektem swoich fantazji. Jednak każda próba rozmowy kończyła się podobnie:

— Ina, nie. Nie psujmy tego — odpowiadał ze smutkiem Mateusz i szybko zmieniał temat.

* * *

Lato zbliżało się ku końcowi. Dni stawały się chłodniejsze – tak samo, jak ich relacja. Ina dostrzegała, że coś się psuje. Coraz częściej wspominała, że chce się spotkać, a Mateusz konsekwentnie odmawiał.

— A może przestanę pytać? Po prostu wychylę się za barierkę — rzuciła zaczepnie Ina podczas kolejnej dyskusji na ten temat.

— Jezu, a ty ciągle o tym — jęknął Mateusz. — Zresztą... rób, co chcesz. I tak mnie nie zobaczysz. Siedzę przy samej ścianie.

Przez powtarzające się sprzeczki na ten temat, Mateusz jeszcze rzadziej pojawiał się na balkonie. Codzienne spotkania zamieniły się w wizyty co dwa, trzy dni. W rezultacie Ina z powrotem popadała w zły nastrój. Nie chciała go stracić. Jednocześnie czuła, że nie zniesie już tej dziwnej mieszaniny tęsknoty i niepewności, którą zaczęły wywoływać w niej rozmowy przez wysoką, drewnianą ścianę.

„Malenia, to jest chore. Mieszka obok, po prostu do niego idź!” – pisała BloodyWolf, której Ina na bieżąco relacjonowała całą sytuację.

„Nie mogę, to byłoby zbyt creepy” – odpisywała, choć czuła, że przyjaciółka ma słuszość.

„Nwm. Jak nic z tym nie zrobisz, to go stracisz. A przecież Ci zależy. No i pomyśl: przecież się znacie. Czemu on tak bardzo nie chce się spotkać?? To dopiero jest creepy”.

Ina często rozmyślała nad powodami, dla których Mateusz tak bardzo unika spotkania twarzą w twarz. Nie obchodził ją jego zły wygląd czy ewentualna nadwaga. Fizyczna powłoka była dla niej wyłącznie przyjemnym dodatkiem, a nie warunkiem, dla którego ktoś jest atrakcyjny. Zresztą nie raz mu o tym wspominała. Bezskutecznie.

Mateusz był miły, mądry i zabawny. Co prawda czasem bywał natrętny lub – paradoksalnie – zbyt zamknięty w sobie, ale ona też miała trudny charakter. Chciała szanować jego granice, z czego chętnie korzystał. Przy tematach, o których nie chciał rozmawiać, natychmiast budował między nimi gruby, nieprzenikniony mur.

Przez kilka ostatnich nocy śniła, że własnymi rękami wyburza dzielącą ich ścianę. W środku znajduje swoich rodziców i Roberta Pattinsona, którzy na wielkim rzutniku oglądają najbardziej żenujące sceny z jej życia: koleżanki plujące na małą Inę w podstawówce; chłopaka z liceum wyzywającego ją na oczach zaśmiewającej się klasy; nastoletnią Inę objadającą się górami jedzenia i zwracającą wszystko do toalety; aż wreszcie jej dorosłą wersję skuloną i płaczącą na podłodze lub upitą do nieprzytomności przed włączonym ekranem komputera.

Po każdej takiej nocy budziła się spanikowana i zlana zimnym potem. Miała dość. Nie chciała wracać do życia, które wiodła przed zasmakowaniem bliskości i zrozumienia, jakie otrzymała od Mateusza. Czuła narastającą, wręcz dławiącą desperację.

Uznała, że czas dać jej upust.

* * *

Miała szczęście: gdy wypadła przed blok, ktoś wchodził do sąsiedniej klatki. Ina wyprostowała plecy i siląc się na swobodny ton, oznajmiła, że jest daw-

ną znajomą Mateusza. Poprosiła o wskazanie jego mieszkania („Coś nie odbiera telefonu”). Starsza kobieta wpuściła ją do środka i szczegółowo poinstruowała, gdzie iść.

Ina prawie wbiegła do windy. Otarła pot z czoła. Pierwsza część planu poszła gładko.

Jedno piętro, drugie, trzecie. Po chwili stała przed białymi drzwiami z tabliczką „Wąsowscy”. Wzięła głęboki oddech. Była przerażona tym, co chciała zrobić. Co, gdyby to Mateusz pojawił się na jej progu bez żadnej zapowiedzi? Wolała nie myśleć. Zresztą, już postanowiła. Teraz albo nigdy. Uniosła rękę i zapukała.

Usłyszała znajomy, posuwisty dźwięk i klik otwieranego zamka. Po minucie zza drzwi wychylił się szczupły, blady brunet na wózku inwalidzkim. Spojrzał na Inę pytająco.

— Cześć... — wydukała z niepewnością.

Natychmiast zrozumiał. Na jego twarzy w ułamku sekundy odmalowało się zaskoczenie przemieszane z rozpaczą.

— D-dlaczego... — wyjąkał Mateusz. Gwałtownie wycofał wózek i zadrzasnął drzwi.

Ina stała jak wryta. Wpatrywała się w przestrzeń przez kilka długich sekund. Czyli to był powód. On nie chodzi. Wszystko jasne. Nie chodzi. Tylko co teraz?

Wreszcie zebrała się w sobie. Wzięła serię głębokich oddechów, aby wrócić do swojej pierwotnej, zdeterminowanej pozy.

— Mateusz, to nic nie zmienia! — zawołała przez zamknięte drzwi — Zupełnie nic. To mnie nie obchodzi, rozumiesz? — Po chwili dotarł do niej wydźwięk tych słów i szybko dodała: — To znaczy nie, że nie obchodzi. Cholera, źle to zabrzmiało.

Przygryzła wargę. Przytuliła twarz do futryny i kontynuowała:

— Jesteś jedyną osobą, na której mi zależy. Nikt nigdy nie był dla mnie tak ważny — Słowa przychodziły jej z łatwością, bo zwracała się do niego tak, jak zawsze: przez kolejną, grubą ścianę. — Wiem, że jest ci ciężko, ale uwierz mi: jesteśmy podobni. Jesteśmy jak... jak te cholerne gołębie — Zaciśnęła oczy. — Zamiast być wolni i łązić po klifach, grzęźniemy w tych blokach — Odchyliła głowę i roześmiała się przez łzy. — Jezu, jaka słaba metafora.

Klik. Drzwi rozchyliły się powoli. Mateusz spojrzał na nią z nieukrywanym wzruszeniem.

— Tak — powiedział cicho, chwytając jej dłoń. — To była najlepsza słaba metafora, jaką w życiu słyszałem. — Po czym przeciągnął Inę przez próg.

* * *

Ciemne mieszkanie na trzecim piętrze powoli stawało się takie, jak powinno. Na gładkim stoliku z Ikei stały dwa kubki z niedopitą herbatą. Koronkowe firanki z salonu zastąpiły długie, lniane zasłony. Łazienkowe płytki pokryto jasną farbą, a różowa wanna straszyla nieco mniej dzięki estetycznej, gumowej macie.

Korytarz z boazerią zdobiły teraz zdjęcia w białych ramkach. Na każdym z nich widniały dwie osoby: drobna, rudowłosa dziewczyna i siedzący na wózku chłopak.



NAGRODA
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

ADELA KUIK-KALINOWSKA

ÒBÙWANIÉ

Pòstawilë nama miskã
cënianą z wëszczerbionym rańtã
taką zëmnią jakbë wid zgasł na wiedno.
Z lniany kòszlë biôłi sztëczk
Twòjégò spòdnégò obleczeniô
ùrwała jem całą gòrzcą.
A tã sã nawetka nie ùśmiechniesz
òka nie òdemkniesz
spisz i spis.
Wzãła jem tatinkù
w dërgòcącą rãkã szaré miedło
jaczim mòjã gãbùszkã tã mił we żniwa.
Jesz rôz òd miãtczych włosów
pò òstatny pòlc ù nodzi
szpacérëjã z Tobą pò drogach smiercë.
Dotikóm lëpów nabrzmiałëch krwią
liców, karkù, piersów
z cebie ju cepło cëchò ùcékò.
A tã jakbë zaklinowóny w dwùch swiatach
z dëszą pòd pòchą pitòsz sã
jic dali czë òstac?
Proszą twòje rãce, brzëch i nodzi
bë nie zesztwniałë sã

mùlkù dôj sã òbùc.
Krochmalonô kòszla
i slëbny czôrny ancug
ju zdają niecerplëwò na ce.
A tã sã szpégłëjesz nadzi
bez wstëdu zódnégò
jak ten Adóm w rajù.
Pierwi mie w pielëchã òbwijôł jes
nie rzekł nick ë nick
że zamienimë sã żëcym.
Do ti dăbòwi trëmë
jem ùmëła ce swòjima łzama
jem òbùła na kòbierec z Mòrą.
Chwôtóm cāzczim dichanim
sztiwné cało
òstatny rôz, òstatny rôz!
W kòlibkã smiercë
ùklôdóm ce
mùjkóm pòdëszeczka pòd główką.
A tã bādziesz ju pò drëdżi stronie
gôrzec pòpiołu w zemiã cësniejsz
mòże z niego drzewò ùrosce?

ÒPÒWIESC KÒSA

Na mòjim òknie ùsòdl kòs. Cěchi
miłi òstrził dzobk w serzpie słuńca
abě swój spiéw pòłożec jak kwiat
na gòlim sercu głābòkò
śniegùlinka przebiła je dzys. Mòja markòtnosc
kroplą rosě òbměła resztci krwi. Jacé
zastěglě w skòrěpě łònszci jeseni. Òstaw
lěst klóna i piāc pòlców scēsniy za biòłą rākā
na znak naszi jednote. Lě těli
w mērgnienim òka pajk tkòł nową pajiczēnā
jakkē chcòł złączec dwa swiatē
wādrowców z daleczich strón. Nié tak
nié tak miało bēc. Spróchniali pién
jesz przézérô sã w górze
ni ma ju kwiatu malwē ani miodny pszczolē. Zēmno
przēnòszò wiater z kùńca ògrodu. Jesz rôz
hcā sã ògrzòc w ògniszcach remiòn. Jesz rôz
piesń kòsa bùdzy mie do žēcò. Prowadzy dalek
na drodži jaczich ju ni ma. Leno těli
wěspiéwòł ptòch mòjā samòtnosc.

BIALKÒSC

Smùlã sã
w szpégłu złotégò jabłka
mòja bialkòsc dozdrzeniała
ùleżała sã w kòszu
pòmiedzë czerwieniã
i zôrnama krëszków
të bë chcół sygnąc
i w serzpie miesãca
pòwróz plesc żniwny
pszénica chili sã do zemi.
Jem ju twòja
sok krwistégò jabka
jesz słodczy ceknie pò brodze
a lëpë szmakają bez kùńca
we snie mòja głowa
w kòrunie jarzebinowi
a jeden ji pòcórk
przemienił sã
na wiedno.

**SPÓZNIONÉ LATO
I MÔŁÔ LATARENKA.
BALADA Ò MIŁOCE**

Pamiâtôsz môłą latarenkã
w ji widze szukelësmë
szczescô we dwòje
swiãtojańszci robôczk
pùkôł w wieczka
òdemklëch na roztrzas
jesz zdebło przeläkniãtëch
zelonëch òd maja serc
na ti latarence bimblotôł latawc
skrił sã przed jeseniã i jiscënkã
co mòże zdarzëc sã witra?
Ref. Li li la mòja miłô mô
Li li la miłô mòja mô...
Pitóm sã wiatru jaczi włosë dludżé
i cenczé jak szpice do cwétra mô
òblecz miã baro proszã
w kòszëlã jedwòbnã
chabrowã nicã wësziwónã
lãkóm sã zëbù i szklónégò òka
przëkrij tępichã kwiatów
słodczëzna i parmién słuńca
jaczi wżãłam pò krijómku
z Twòjégò ùsmiechù na wiedno
schòwóm głãbòk na dno dna.
Ref. Li li la mòja miłô mô
Li li la miłô mòja mô...
Dësza krëjamnotë nie wëdô

a jô ùplotã miész z mléczów
tam bādze krijówka dlô cã
zôrenkò pszénicë taczé ceplé
krãglé bòkadnosćą żniw
zaplec mòje dwa warkòcze
kłosama pszénicë
òne ùrosćą do czëpów drzew
tam bādã cã żdac
w pòwidze miesąca
splotlé dwa cała.
Ref. Li li la mòja miłô mô
Li li la miłô mòja mô...
Kriształowô krãgłosc ju dozdrzeniała
perła na nitce wiecznoscë
co zybie nią chłód z dołu
òd zemi na sto métrów
nasze rãce stopile sã
jak lëchtarze srebła
pòd môłą latarenką
jubiler twòrzi naj piestrzén
z òczkã i miesăcowim kamieniã
w nim ùkrijemë sã –
w môlu krëjamny miłotë.
Ref. Li li la mòja miłô mô
Li li la miłô mòja mô...

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

MATEUSZ KLEBBA

Ò WĚSOCZIM ÛRZĂDZE DO SPRAWÓW REGLAMENTACJI I PRZĚDZĚLU, WĚZNACZENIM PIĂKNY ANECZCZI, A W CAŁOSCĚ Ò NŌDZEJE ALOSZA TRIBĚ I JEGŌ CHWIŁOWI REDOCE

Jak kòzdi knôp na trzë niedzele do swòji jeden dwadzeŝti roczëznë stanął jem przed wiôldżima drzewianyma dwiërzama Wësoczegò Ûrzădu do Sprawów Reglamentacji i Przëdzëlu. Tëli pòkòleniów stojało tuwò przede mną. Dzy-sô miôł jem sã stac chłopă. Chòc ni mògă pòwiedzec, że jem tegò chcôł. Jesz wczora zdôwało mie sã, że tegò zdôł jem całë żëcé, że niczegò nie pragnă bar-zi. Cos sã równak mieniło. Nie jem gwës, czë to strach przed tim, co nowé i niezónné, czë mòże òbrzędzenié. Òd czedë le skùncził jem trzënôsce lat, rôd jem slëchôł na pùrzăcëch ò tim stôrëch chłopów. Dobrze pamiătóm wszëtczë jich òpòwiescë. Nôwicy mógł sã ò tim wëwiedzec, czej sã richtich spilë, na wie-selim, gebùrstagù abò prosto bez niżódny òkazji. Sznaps miôł tã jednă cechă, za chtërnă jem gò achtniwôł, chòc w tim czasie wicy z òbserwacji jakno z prak-ticzci. Rozrzesziwôł lëdzóm jăzëczi i sygnăło le dobrze slëchac, żebë ùdostac na swòje ùszë rozmajité cekawinczi. Smaczci, ò jaczich nicht òb codzëń nie gôdôł. Bò nie wëpôdô, bò swiniarszczë, abò prosto nie bëło pò temù leznoscë. Jednyma òd taczich historiów bëłë chłopszczë wizytë w Wësoczim Ûrzădze do Sprawów Reglamentacji i Przëdzëlu, je wiedzec, że te w òkòlim jeden dwadze-sti roczëznë, òb czas jaczich kòzdemù przëznónô je chłopskategorió i przedze-liwónô kandidatkă na bialkă. Jedno, jak gôdelë, wëchôdô z drëdzégò, bò wej czim wëzszô chłopskategorió, tim wikszë zôkrăżë wëbiëru kandidatczci mają ùrzădnicë zajmajăcy sã przëdzëlă. Nie chcôł jem ò tim mësłëc, za baro jem sã bôjôł, jaż mie bëło dzywno. Czejbë to sã dało co zrobic, żebë to ju bëło za mną. Ûdbôł jem nie czestowac sã ju tima swòjima mădrowinama, le jic. Chùtczi pùdă, chùtczi wrócă, pòmëslôł jem.

Bùdink bëł machtny. Nie bëł jem w sztădze òbjăc gò zajisconym zdrokă. Serce dërzało mie w piersë, a z kòzdim òddechă czuł jem ùdzibajăcë sã pode mną corôz barzi zramôlăłë òd strachù nodzi. Wiedzôł jem równak dobrze, że ni mògă sã copnăc. Nie bëlbë jem równak ùtcëwi, czejbë jem pòwiedzôł, że môja wiëdzô ba ùgwësnionô przekònanim. Prosto bôjôł jem sã witra.

Samòtnoscë i wëchëczowaniò. Przed òczama miòł jem pòstratã wszëtczich, chtërnëch jem kòchòł. Abò przënaconé do mësłë, że tak je. Òni bë tegò nie zrozmielë. Kò to bëlë kuńc dlò naszi familie. Chòc familiò to lëché òkreslenie. Jemë karnã zrzeszujacym czile sztëk czidlëch lëdzy, jaczich parłaczi leno rozsądk i pòwrozë geszeftów. Ni miòł jem nick procëm temù. Wiedno zdòwało mie sã, że to taczë mòderné, jakbë z lepszego, òdartzégò z nadzwëkòwnëch wseczëców swiata. Tak mówilë mie òd bibiãtczich lat. Nie chcòł jem równak tegò zrozumieć. Wierã prawie temù ùròsł jem w sémie rãkach i nigdë nie mógł jem zwëskac te malińcégò plachca chłopszczi słabòscë. Në nick, na to ju nick nie pòradzã. Nie mdã jima równak dokłòdòł.

Mùszã tam jic. Wcësnał jem klëczkã i naròz bël jem bënë. Ùzdrzòł jem wësoczi kòntuar, za jaczim sedzòł pòòblokli w ancuch chłop, wierã niżsi randzi ùrządniczi, wëdòwajacy òrganizacjowë pòlétë dlò petentów, co mielë smiałosc bürzëc biòrokracjny bezpiek i szëk ùrządniczégò dnia. Przed ùrządnicã stojała nié baro dlugò kòlejka chłopów, abò raczi bënlów, chtërnyma z òczu zdrza to jistné, co czuł jem bënë — strach. Stanął jem w rëdze zdajacëch na dispòzycjã. Przék mòji pierszi mësłë, nie czekòł jem dluzi nigle czile minut i pò sztòce stojòł jem prost przed nisczim, le dosc tëlì grëbim ùrządnika, chtëren pòprosyl ò òkòzanië personkòrtë.

— Alosz Triba, syn Kléménca, ùrodzony 10 sëwnika 2016 rokù w Bùsze. Gòdòł sam do se. — Pòdlug òswiòdczeniù Przédny Statisticzny Kòmisji 181 centimétrów wësoczi mòrës z piwnyma òczama. Gòdajacë dali sóm do se, przëzdrzòł sã na mie ùwòzno, a pòtemù pòwiedzòł: — Zgòdzò sã. Jizba 44, jakbë Të nie wiedzòł, to je na drëdżim piãtrze. Dodòł głosã, chtëren czejbë nié ùrządniczi òrt bécégò, szlachòwòłbë nawetkã za sympatiã. — Mòsz numer 11, zapamiãtòj 11. Mdã wòlëlë. A terò ju biòj, le flot.

Pò tëch słowach cziwnał głowã i wrócył do wëfùlowiwaniù ùrządniczych fòrmùlarów, chtërnëch leżało przed nim skòpicã, bòczacë wierã, że bël jem òstatny w rëdze zdajacëch na jegò pòmòc. Tak tej òddzãkòwòł jem sã i siedł jem, dze mie òdkòzòł. W mësłach dërch pòwtòrzòł jem, jizba 44, numer 11, nie zabaczë, jizba 44, numer 11. I tak jesz wiele razë. Kùreszcze nie wiedzòł jem ju, czë jizba mia numer 11, a jò 44, czë mòże òpaczno. Ùretało mie blòs to, że zapamiãtòł jem, że jizba, do jaczi miòł jem jic, je na drëdżim piãtrze, a tamò numeracjò rozpòczina sã òd 39, tak tej letkò doprzëszedł jem na to, że slëchò jic pòd jizbã 44.

Przed kòżdã z jizbów, jaczé jem mijòł pòde drogã, sedzòł jeden chłop i zdòł za wëwòłanim przez ùrządnicã. Przed jizbã 44 nìcht równak nie sedzòł, a dwiérze bëlë òtemklë. Czej leno sedzacò bënë pòstacjò zmerkała rëch przed swòjim gabinetã, zawòłała:

— Numer 11, proszã!

Nie mësłacë wiele przeszedł jem bez dwiérze, przëdzrżół jem sã na ùrządника i stanął jem jak stamiãli. Tam sedza białka! Białka w Wësoczim Ùrządze do Sprawów Reglamentacji i Przëdzëłu. Tegò nie czuł jem z żòdny òpòwiescë pùrzony bez chłopów pò sznapsu. I nie jidze ò to, że jem jaczégòs zortu seksystą, le prosto tegò jem sã nie spòdzół.

— Dobri dzeń. Przerwa mie rozmësłanié. — Jò sã nazëwóm Agnesa Kòlãtowskò i przeprowadzã Twòjã kwalifikacjã na chłopskategóriò i badérowanié w czerënkù przëdzëłu kandidatczy na białkã. Mòsz jaczé pitania? Zapita z òsoblëwã łagòdnoscã. Wierã widza w mòjich òczach zajiscenié i niegwësność tegò, co mie zdaje.

— Jo, móm pitanié. Pòwiedzół jem kãsk łamiącym sã dërch głosã. — Jaczé są te chłopskategorie?

— Zgòdno z rozpòrządzenim Minystra do Sprawów Familie wëdónégò na spòdlim pasownëch ùstawòwëch delegacjów mómë szterë chłopskategorie. Pierszò i nòwëszò z nich to „A”. Prawie nicht ji nie dostòwò. Mòże jã przëznac leno wëróznijającym sã na spòdlim òglowòscë chłopóm. Drëgò to „B”, tã ketegóriã dostòwò wikszi dzél stòwającëch do kwalifikacji. Pòtemù mómë „C”, jakò slëchò w przëtròfkù zdiagnozowaniò defektów, chtërnëch medycznò kòrekta dozwołì w przinëdnoscë na przëdzël białczy. I kùreszce „F” przëznòwónò rozmajitima dewiantama i chłopóm, co chłopama nie są. A terò dosc gòdaniò, regùlamin przewidëje czas na przeprowadzenié kwalifikacji. Scygni bùksë — doda ju kãsk pòwòzniészim głosã.

Nanëchstopach stół jem sã czerwóny na gãbie, le pòslëszno wëkònół jem pòlét ùrządniczczi, jakò nie spùszczizwa ze mie òstrégò zdrokù.

— Ale panie kòlegò, slipë téż! Zasmia sã.

Mie równak nie bëło smiészno. Wiedno cãżkò przëchòdało mie zeblakanié, òsoblëwie przed cëzymã. Chcącë czë nié, mùszół jem sã rozeblëc do kùńca.

— Në widzysz. Mòżna, mòżna? Pòchwòla mie białka. — A terò wlëz na tã wògã. Bez słowa wszedł jem na wògã, a ùrządniczka spisa pòdòwczì. — 181 centimétrów rostu, 76 kila wòdżi. Wszëtkò sã zgòdzò. A terò pòdëndzë do stołu. Zrobił jem, co mie òdkòza. Wtim ùczuł jem ùklocé, jak sã pòtemù òkòzało, zastrzik na erekcjã. — Widzã, że wszëtkò graje — rzekła bùsznò z se ùrządniczka, a na ji twarzë dało sã zmerkac wërazny ùsmiëwk. Pòtemù załòża gùmiané rãkawice, wzã miarã, bezceremonialno chwëca mie za pënkã i òdczëta wënik. — Në, në... 21 centimétrów. Pòwiedza kãsk zdzywionò. Wtim ùczuł jem makłanié na swòjich jajach. To wszëtkò dzejało sã tak flot, że nawetka nie wiedzół jem, czedë ta ùrządniczka ùchwëca mie za mieszóczk. Spròwdziwa jegò zamkòsc dosc długò i staranno. Pò czile minutach sadła na swój stółk i jakbë nigdë nick rozpòcza wëfùlowëwac papiorë.

— Sadni so. Pòwiedza.

— A mògã jò sã òblec? Zapitòł jem niegwësno.

— Nié. Sadôjże, jak Cë gòdóm.

Głosno przełknął jem slënã i sadnął jem na wskôzony bez bialcëskò stółczk.

— Mdã Cë zadôwa pytania z ankëtë, a Të mdziesz òdpòwiôdół wãzłowato. Rozmiejysz?

Cziwnął jem głową na znak, że rozmiejã.

— Jak czãsto pijesz sznaps?

— Bò jò wiém, rôz, mòże dwa razë w tidzeniu.

— Bëlno. Bierzesz jaczé narkòtici?

— Nié.

— Co tu terô. A jo. Rzekła pò krótczim namëslenim. — Wiele miół jes seksualnëch partnerków?

— Ni miół jem zòdny! Wëkrzikał jem. — Kò to bë bëło procëm naszémù prawù — dodòł jem z òbùrzenim. Ùrządniczka letëchno sã ùśmiechna i pòwiedza:

— Przepis przepisã, a żécë żëcym, ale ceszi mie takò òdpòwiesc. Tej rzecze mie jesz na kùnc, jaczé białci Cë sã widzą?

— Kò nôłepi jasnoszczi, nié baro wësocze i taczé, co jak to sã rzecze, i tu mają, i tam téz. Ùśmiechnòł jem sã letkò, a ùrządniczka òdnótowa mòje słowa.

— Żlë ò mie jidze, to ju wszëtkò. Terô pùdziesz na dochtorszcé badérowania, ale te mdą robioné w fùl znieczulenim. Pò tëch słowach pòda mie różewą pëlã i sklónkã wòdë. — Wez, le feste pòpij.

Tak jem zrobił i òd ti chwilë nick wiãcy ni mògã so wdarzëc. Zbùdzył jem sã pòstãpnégò dnia w mòjim łózkù z dosc wiòldzim bólã głowë. Òd tamtégò czasu nie zdarzëło sã równak nic, czym miòlbë jem smiałosc zajmãc czas czëtińca.

Pò czile niedzielach na dwiérze swòjim statecznym, òbrónym z dówna spòsobã zaklepòł stòri brifka. Ten sòm, jaczégò pamiãtóm z dzecnëch lat. Nick sã nie mienił, mòże leno stół sã kask barzi marzati. Òd czile dniów mòje ùszë bëłë jak zajcowé slëchë, czekòł jem za nim i kùreszce przëszedł. Tak tej pònëkòł jem do dwiérzów, wcësnął jem klëczkã i ùzdrzòł jem. Przede mną stojòł ten sòm brodati chłop kùlawi, nie wiedzec czemu, na lewã nogã. Nie sfórtowòł jem halac lëftu, żebë pòzdrowic brifkã zgòdno z wëchòwanim dostónym òd mòji nënczi, bò wej brifka zawòłòł:

— Pòchwòlony Jezës Christus! Të Cë, Alosz, môsz dzysò dobri dzëń!

— Na wieczy wieków! Jo, a cëz sã sta? Zapitòł jem rznacé głupa, że nibë nic nie wiém. Mùszita wiedzec, że ùdòwanie i wszelejaczé kònwenansë wiedno

bělë w naszych stronach miarą społëznowégò statusu i temù téz ùdbòł jem zrobic do wòlë zwëkòwi.

— Të, srëła Të. Të so ze mie nie szpòrtuj. Kò jò stòri strëch, chòc mòże nie wëzdrzã, to téz móm to wszëtkò przëszlë. I dobrze pamiãtóm to òczekiwanië na lëst z ùrządu. Jo, jo... Co to bël za dzëń. Serce chcało wëskòknãc z piersë. Jakbë to nie ba pròwda, tej jò bë Cë tegò nie gòdòł! Aj, Panie, mdze wieselë! Bò mdze, doch jo? Zapitòł kãsk zajiscony brifka, chtërnégò głos z minutë na minutã z wiesolégò i szpòrtownégò stòł sã pòwòzny i nieùstãplëwi.

— Co Wë gòdòcë?! Je to ju ten czas?! Dali żadną miarą nie chcòł jem pò se dac, że mie téz serce bije jak głupé. — Nie merkòł jem, że to tak flot pùdze. Kò bël jem w ùrządze nie dali jak dwie niedzele dowsladë. A wieselë, pewno mdze... Dodòł jem łamiącym sã òd niegwësnoscë głosã.

— Të ju lepi.... Nie dokùncził z zajisceniò brifka. — „Pewno”?! Jes Të wierã nienormalny! Në, nie gadòj mie, że mdzesz pisòł òdwòłanië! Të doch dobrze wiesz, że z tegò jesz nigdë nic bëlnégò nie dało! Pòslëchòjzë stòrëgò brifczì i robi tak, jak Cë napiselë w kwitach. Mòja Gita jakò je, takò je, czasã nie je letkò z nią strzëmac, le biédë ni móm z nią. Tej nie robi głëpòtów, le sã żeni! Jò Cë to gòdóm! Ùrząd wié, co robi, a w przëdzélowi decyzi kòzdemù namieniówò to, co jemù slëchò — wnet wëkrzìknãł brifka, pò czim dòł mie do pòdpisaniò pòcwièrdzenië òdbioru.

Nie zastanòwiającë sã dlugò szrajbnãł jem zòltã ùrządowã zwrotkã i òddòł jem jã brifce. Brifka przëzdrzòł sã na mie dokładno, wezdrzòł na pòcwièrdzenië i pòwiedzòł:

— Dopiszë jesz datã, kò jinaczi jò dostónã pò łbie òd czerownika, czëj wrócã. A jò prawie dzysò chcòł jic za bòzòkã prosëc. Tej mie tu nie robi taczich szpòrtów. Na ùrządowim kwice wiedno mùszi bëc data wpisónò. Zapamiãtòj chłòpkù, dobrze Cë radzã. Wice mòżesz so robic z kògum le chcesz, z drëchama, z biãkã pòd pierzënë, z sãsadã pò czile głãbszich, le nié z ùrządã. To nie je dobri czas na wëszczërzanië sã z ùrãdniczi machinë. Czëj w òkòlnik wpiselë pòlët, tej kùnc, z tim sã nie diskùtérëje, rozmiejesz to? Gòdajãcë te słowa nanëchstopach stòł sã całi czerwòny i zmòkli na lësënie. Taczégò jem gò nie znòł, wiedno bël zortã kalesonów, chtëren nie rozmiòł zgùbic słowa, czëj mù na to nie dozwoła ta jegò Gita, z jakã ni miòł miec biédë. Wierã òstatné zaòstrzenië ùrãdniczych sztròfów ùcwièrdzëło gò w przëkònanim, że nót je nico pòzmienic w swòjim żëcym. Tak czë jinak ni miòł jem lësztu sã z nim wadzëc i dlò swiãtégò spòkòju dopisòł jem datã, gòdajãcë:

— Kò to sã wié, że rozmiejã.

Pò nëch słowach twòrz brifczì stała sã kãsk spòkójniészò i pò sztòce damieniò brifka pòdòł mie lëst, za jaczim tak dlugò jem czekòł. Nie mësłacë ju wiele dòł jem brifce piãc zlotëch, jak to slëchało robic, òddzãkòwòł jem

sã i chùtczim krokã szedł jem w swòjã jizbã, zasztëkòł jem dwiérze i sadł na machtnym skòrkòwym zesłu, chtëren łoni dostòł jem na roczëznã. Dërżącã rãkã òtemknął jem biòłą kùwertã i rozpòczął jem czëtac słowa spisóné zasëszonym biòrokraticznym jãzëkã. A napisóné bëło hewò tak:

Bùcha, 10 sównika 2037 rokù

DECYZJÒ

*Wësoczi Ùrząd do Sprawów Reglamentacji i Przëdzëłu
pò rozpòznanim sprawë z wniosku Alosza Tribë syna Kléménca
na spòdlim art. 14 § 1 ùstòwù z dnia 12 maja 2001 r. ò reglamentacji
i przëdzëlu białk (Dz. Ù. z 2001 r., poz. 425) w zw. z art. 2 § 3 ust. 1 i 4 ùstòwù
z dnia 7 gòdnika 1987 r. ò prokreacji i regùlowanim bez państwò instytucje
żënbë (Dz. Ù. z 1987 r., pòz. 10) w zw. z art. 76 § 2 ùst. 2 pkt. 1 lit. b ùstòwù
z dnia 24 zélnika 2031 r. ò żeniałëch i familiach (Dz. Ù. z 2031 r., pòz. 2341)
przëdzëliwò òbëwatelowi Aloszowi Tribie chłopskategorió „A” i wëznacziwò
na jegò białkã òbëwatelkã Anã Górską córkã Jana, ùr. 19 gromicznika 2018
rokù w Bùsze.*

Ûzasadnienié

*Òbëwatel Alosz Triba syn Kléménca ùr. 10 sównika 2016 rokù w Bùsze w dniu
10 sównika 2037 rokù stawil sã w sedzbie Wësoczegò Ùrządu do Sprawów
Reglamentacje i Przëdzëlu cëlã przëznaniò chłopskategorii i wëznaczeniò
kandidatczii na białkã.*

*Pò przeprowadzenim pasownégò adminystracyjowégò pòstãpowaniò,
stosowno do art. 165 kòdeksu biòrokracje z dnia 13 gòdnika 1981 r. (Dz. Ù. z
1981 r., pòz. 123), mającë bòczenié za wëfùlowanié przez stòwajęcégò òbëwatelã
Aloszã Tribã syna Kléménca warënków òkreslonëch w òdnosiwajęcëch sã do
tëch sprawów przepisach przëznóno chłopskategorió „A”.*

*Wëzi wskòzóné ùmòzłëwiło Wësoczému Ùrządowi na wëbiér kandidatczii
na białkã zestrzód wszëtëczich zaregistrowónëch w ùrządowim zestòwienim.
Przeprowadzenié drobnòtny analizë ùgwësniło Wësoczi Ùrząd, że
nòpasowniészò dlò òbëwatela Alosza Tribë mdze òbëwatelka Ana Górską córka
Jana. To ùstalenie òstało dokòné na spòdlim taczich hewò faktów. Òbëwatelka
Ana Górską córka Jana je ùrodzonò 2018 rokù, co òznòczò, że latos przëkrocza
granicã żënbë òkreslonã w ùstawie z dnia 24 zélnika 2031 r. ò żeniałëch i
familiach (Dz. Ù. z 2031 r., pòz. 2341). Co wicy òbëwatelka Ana Górską córka
Jana ni mia niżòdnëch wpisów w kartotece zastrzégów, co dozwołiwò na ji*

przepasowanie do òbëwatela mającégò chłopskategòriã „A”. Żlë jidze ò fizycznë aspektë, òbëwatelka Ana Górskò córka Jana je 162 centimétrë wësokò, mò wòga 51 kilogramów, je jasnoszką z mòdrima òczama. Wësoczi Ùrząd nie òdnotowòł przëtrófków narëszeniò bez niã regùlacjiów ùstawù z dnia 5 łżëkwiata 2000 r. ò ùchòwanim dzëwictwa (Dz. Ù. z 2000 r., pòz. 764). Przewidëje sã, że òbëwatelka Ana Górskò córka Jana mòże ùrodzëc bez szkòdë dlò zdrowiò nié mni jak troje sztek dzecy nòpòzni do dnia 31 gòdnika 2046 rokù.

Decyzjò je zarò wëkònalnò.

Wësoczi Ùrząd òkresliwò termin zrãkawinów nié pòzni jak na dzëń 10 rujana 2037 rokù, zòs termin zdënkù nié pòzni jak na dzëń 10 gòdnika 2037 rokù. Biég terminów mdze zawieszony w przëtrófkù wnieseniò òdwòłaniò przez ùprawnionégò.

Cëlã dogòdaniò drobnótów òbëwatel Alosz Triba syn Kléménca pòtkò sã z Janã Górsczim synã Féliksa (zam. 81-572 Bùcha, sz. Zgùbnò 2), òjcã przedzelony kandidateczci na bialkã, do dnia 30 séwnika 2037 rokù. Z pòtkaniégò nót je spisac protokòł zgòdno z załączonym wzorã, chtërnégò kòpiã mùszi dostarczëc do Wësoczegò Ùrządu do Sprawów Reglementacji i Przëdzëlu w Bùsze do dnia 7 rujana 2037 rokù.

A na kùncu decyzji stojało pòùczenié:

Òd decyzje Wësoczegò Ùrządu do Sprawów Reglementacji i Przëdzëlu w przedmioce przëdzëlu bialczci slëchò òdwòłanié do Nòwëższégò Sądu Òchronë Prawów Chłopów z sedzbą w Leleczënie. Òdwòłanié wnòszò sã w terminie 21 dni òd dnia dorãczeniò decyzje za przëstrëdnicstwã ògranu, chtëren w fòrmie decyzje dól do wiédzë swòjã wòlã, òdnòszającã skùtk w żëcym òbëwatela. W òdwòłanim mùszi wëpisac wszelejaczë zarzutë stòwióne zaskarżony decyzje i pòdac jejich ùzasadnienié a téż òkreslëc, czegò domògò sã skarżący. Do òdwòłaniò mòże dołączëc dowòdë, jaczé wskazëją na felã òrganu i ùzasadniewajã pòzmianã decyzji. Òd òdwòłaniò nie slëchò niżòdna adminystracjowò òplata.

Òbëwatel mò prawo stawic sã w Wësoczim Ùrządze do Sprawów Reglementacji i Przëdzëlu przed ùpłiwã terminu do wnieseniò òdwòłaniò i rzeknąc sã tegò prawa. Taczé pòstãpowanié ùmòzłëwi scwierdzenié prawòmòcnoscë decyzji i ji chùtczészë wëkònanié.

W przëtrófkù narëszeniò bez òbëwatela Aloszã Tribã syna Kléménca warënków decyzje, òsoblëwie nieòdbëcégò pòtkaniò z òjcã kandidateczci abò niewnieseniò òdwòłaniò, nałożonò mdze sztrófa w wësokòscë do trëkrotnoscë strzëdnégò wënòdgrodzeniò w nòrodny gòspòdarce òkreslonégò bez Przëdnò Statisticznò Kòmisjò za rok przprzëdzewający rok ùprawòmòcnieniò sã decyzji.

Pòd decyzją stojòł pòdpis Wësoczegò Kòmisarza do Sprawów Przëdzëlu i kòntراسыgnata samégò Naczelnika Wësoczegò Ùrzãdu.

Kùńczącë czëtac te słowa wzdichnął jem jak kòwalsczy miech, rãce mie dërżalë, a serce biło tak flot, jak jesz nigdë w żëcym. Dostòł jem Ankã! Tã Ankã, chtërna widza mie sã òd przëdzskòlégò, i tã jistnã, chtërna wiele razy dówã mie do zrozmieniô, że mò na mie namklë. I co!? I chto mò dobëté!? Jò bë muszòł bëc richtich głupi, żebë wnòszac jaczë òdwòłanié.

Ale bël jem z se bùsny, tegò dnia czuł jem, że mògã wszëtkò. Nijak jem sã tegò nie spòdzëwòł. Kò Anka! Nòfòrszniészò brutka, jaką nosëlë szasëje naszégò zabëtégò òd Bòga i lëdzy miasta. Aneczka, za jaką òbzërelë sã wszëtcë chłopi, òd dristnëch bërlów pò zramòlalëch starëszków. Jo, to òna mdze mòją slëbną! Jò cë móm szczescé! Je widzec, że co kòmù namienioné, tegò to nie minie. Ale sã ceszã! Dichtich sã ceszã! A òna? A òna nie mdze mia nick do gòdaniégò! Mdze mòja i kùnc. Witro z samégò rena pùdã do ùrzãdu złożëc òswiòdzczenié ò zrzeczeniëm sã prawa do wniesieniù òdwòłaniù i tej dostónã kwit ò prawòmòcnoscë i wëkònalnoscë decyzje! Jo, dolëbòg, tak zrobiã! A jak dobrze pùdze, to nie dali jak w niedzielã zaniesã decyzją z wszëtczima pieczątkama Janowi Górszczëmù, tatkòwi Anczi i tej mdzemë rozpòwiòdelë ò zrakawinach i zdënkù. A jenëseja jo, ò zdënkù! Mòjim zdënkù z Aneczką!

Wtim mòje rozmëszlanié przerwa klepiącò na dwiërze nënka, chtërna òd czile dniów, jistno jak jò, ni mògła strzëmac òd cekawòscë.

— I jak synkù, kògò Të dostòł? Të doch wiész, że mëmie mòzesz pòwiedzëc.

A to cwanò bestiù, pòmëslòł jem. Dobrze wié, że taczë cmùlenié sã do mie robi mie nerwës, le dozwołi ji wëwiedzec sã wszëtczegò z nòmiëszima chòcbë drobnótama.

W tim placu je wòrt kòl te nadczidnãc, że bialkama nijak nie je wòlno czëtac decyzjów Wësoczegò Ùrzãdu do Sprawów Reglamentacji i Przëdzëlu, a przënòmnì tëch tikajacëch przëdzëlu chłopskategorii i wëbiëru bialczy. To bëło richtich zakòzóné i za danié zgòdë na przëczëtanié taczë decyzji bez bialkã mògl trafic na czile miesãcy do prizë. To nie bëłë szpòrtë, a jò nijak ni mògl jem so dozwołëc na pòzamkniãcé do sòdzë. Nié terò, czëj dostòł jem „A” i przëdzëlëlë mie Ankã. Tak tej muszòł jem òpasowac i flot schòwòł jem lëst pòd ksążczy, leżącë na kòmòdze krótkò zesla, na jaczim jem ju òd dłuższich chwilë sedzòł.

Bialczy muszalë rëchòwac na to, co jima chłopi rzekã, ale jakòs tak wiedno wëchòdò, że rzekã wszëtkò, prawie wszëtkò, bò niejednëch sprawów nijak jima gadac ni mòże. Do ti kategorii slëchają przëde wszëtczim sprawë przebiegù kwalifikacji i samégò przëdzëlu kandidateczci na bialkã. Ò tëch sprawach mògl gadac leno z chłopama.

— Dostòł jem „A” mëmò! „A” — rozmiejesz Të to?! Wëkrziknął jem prawie.

— Co Të gôdôsz, „A”?! Kò w naszi familie nicht jesz ni miôł „A”! Tak sã ceszã synkù! A co z białką? Chto mô to szczescé i mdze mòją sënëszką?

— Në kò jak to chto... Pòwiedzôł jem bùsznym głosã. — Anka òd Górsczych.

— Të so nie robi szpòrtów ze stòri matczy.... Kò jak Anka?! Ta Anka, jaczi nosył jes kwiôtcki w pòdskòlim?

— Jo, prawie ta. Mdze mòją białką i kùńc! — wrzeszczôł jem z redotë.

Twòrz mëmë sta sã równak zajisconô, a ji òczë wëfùlowôł strach. Bël jem czësto baf. Mëslôł jem, że sã ùceszi, kò dostôł jem dzëwczã, chtërno mie sã widzy!

— Cëż sã sta, mëmò? Zapitôł jem.

— To Twòje wiôldzé szczescé je le na chwilã, le ò tim sóm sã wnetkã doznôsz.

Chcôł jem dopëtac, ò co ji szło i co to òznôczô, że mòje szczescé je le na chwilã, le nigle zdąził jem zadac pitanié, nënka wësza z jizbë. Jak sã równak niedługò pózni òkôzało, mia prôwdã. Jak wiedno mia prôwdã.

WYDAWCA

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
e-mail: mbp@biblioteka.lebork.pl
tel. 59 8622307

*Dziękujemy Panu Dariuszowi Majkowskiemu
za korektę tekstów w języku kaszubskim*

GRAFIKI:

Zuzanna Płotka

ISBN 978-83-60731-46-8

WYDANO NAKŁADEM

Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lęborku
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

DRUK

Drukarnia BOXPOL Słupsk
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel. 59 842 43 71
e-mail: druk@boxpol.pl
boxpol.pl